

SPIS TREŚCI

WPROWADZENIE. DZIECKO TRANSFORMACJI	9
1. Polacy i państwo	9
2. Społeczeństwo i instytucje	15
3. Zrozumieć transformację	19
4. Polskie systemy polityczne	23
ROZDZIAŁ I. NARÓD REALNEGO SOCJALIZMU	33
1. Był kraj	33
2. Czerwony świt	38
3. Struktura władzy	42
4. Polska specyfika	47
5. Klasy społeczne w państwie komunistycznym. Chłopi i robotnicy	53
6. Nomenklatura	63
7. Inteligencka gra: opór i oportunizm	76
ROZDZIAŁ II. AGONIA LEWIATANA	87
1. Dlaczego upadł komunizm	87
2. Narodziny opozycji	92
3. Kościół i katolicy	101
4. Wielka delegitymizacja	109
5. Niedotrzymana umowa	116
ROZDZIAŁ III. REPUBLIKA MAFIOZÓW I INTELIGENTÓW	127
1. Od monopartii do kapitalizmu państwowego	127
2. Podział postkomunistyczny	137
3. Post-inteligenci i post-nomenklatura	146
4. Słabość władzy politycznej	151
5. Policjanci i bandyci	160
6. Wybiórcze zwierciadło	169
ROZDZIAŁ IV. PAŃSTWO PRAWNIKÓW	185
1. Niezbędna kasta: prawnicy i legitymizacja władzy	185
2. Sprawiedliwość i dyktatura	194

3. Emancypacja sędziów	202
4. System zamknięty	211
5. Sądy i lustracja: aktywizm nieuświadamiany	220
6. Reprywatyzacja: studium przypadku bezradności	227
7. Władza Trybunału	237
8. Prawodawcy w togach	247
9. Sędziowska biurokracja	255
ROZDZIAŁ V. ZMIERZCH POSTKOMUNIZMU	265
1. Dlaczego Rywin przyszedł do Michnika	265
2. Buldogi na dywanie: kryzys kapitalizmu politycznego	271
3. Koniec świata Redaktora	277
4. Transformacja sceny partyjnej	283
5. Chaos przełomu	292
ROZDZIAŁ VI. W KRAINIE CIEPŁEJ WODY	303
1. Redefinicja podziału: jak spór o przeszłość stał się sporem o transformację	303
2. Polish Dream	308
3. Wzorce zachowań wyborczych: dlaczego partie w Polsce nie dotrzymują obietnic	314
4. Dies timoris	317
5. Media dwubiegunowo-afektywne	328
6. Pęknięta tożsamość	342
ROZDZIAŁ VII. SYSTEM TUSKA	357
1. Partie nowego wzoru	357
2. Strażnik żyrandola	363
3. Od areny do teatru	367
4. Bezwładne centrum	374
5. W poszukiwaniu sterowności	382
6. Sądy i prawnicy: próba korekty	388
7. Blaski i cienie modernizacji	396
ROZDZIAŁ VIII. KONIEC ŚWIATA LIBERAŁÓW	405
1. Cena długu	405
2. Ile liberalizmu w liberalizmie?	412
3. „Ten folklor, ten syf”	423
4. Koniec końca historii	442
5. A więc wojna	449
6. Upadek euromitu	453

ROZDZIAŁ IX. OSTATNI REWOLUCJONISTA III RP	455
1. Szczęście Kaczyńskiego	463
2. Czas pogardy	463
3. Sprawiedliwość i legitymizacja	473
4. Państwo partii przeciw państwu prawników	481
5. Toga i pałka	492
6. Demokracja plebiscytarna	498
ROZDZIAŁ X. KACZYZM NA WIRAŻU	505
1. Widmo imposybilizmu	505
2. Partia i pandemia	513
3. 27:1	521
4. Ryzykowny urok agendy radykalnej	530
5. Prześlona rewolucja (seksualna) i nowa klasa średnia	538
6. Kryzys partyjnej tożsamości	548
7. Narodowa ochlokracja	557
ZAKOŃCZENIE	567

WPROWADZENIE

DZIECKO TRANSFORMACJI

Polak to embrion narodziarski
Z lepierek począł się, z zaścianków
Z najazdów ruskich i tatarskich
Z niemieckich katedr, z włoskich zamków
W genealogii tej określił
Oryginalny naród się by -
Gdyby się uczył własnej treści
Zamiast przymierzać cudze gęby.

Jacek Kaczmarski, poeta

1. Polacy i państwo

Nie ma jednej definicji narodu; obejmujemy tym pojęciem różne formy wspólnot, cechujących się pewnym rodzajem autoidentyfikacji, którą kwalifikujemy jako „narodową”, w odróżnieniu od innych form zbiorowej tożsamości – plemiennej, lokalnej czy etnicznej. Zwykle przesądza o tym jej złożoność: poczucie przynależności do narodu wiąże się z uczestnictwem w rozbudowanym konstrukcie kulturowym, czyli tym, co Gellner nazywa „systemem wspólnych idei, znaków, skojarzeń, sposobów zachowania i porozumiewania się”. W przeciwieństwie do tak zwanych konstruktywistów (uważających się zwykle za uczniów Gellnera, czy słusznie, to osobna kwestia), nie sądzę, aby system taki można było stworzyć całkowicie sztucznie, kreując poczucie tożsamości narodowej metodami inżynierii społecznej. Więż narodowa jest zjawiskiem istniejącym obiektywnie i choć elity społeczne mogą nadawać jej różną postać (np. środkami propagandy, polityki historycznej, itp.), to jej powstanie jest w przeważającej mierze wynikiem spontanicznego i długiego procesu; nie ma narodów bez historii.

Jeden z istotnych elementów takiego systemu wyobrażeń spajających społeczeństwo w naród stanowi państwo: od XIX wieku powszechnie

stało się przekonanie, że naród nie może egzystować bez państwa, jeśli zaś go nie ma – to powinien je mieć. Przekonanie to – stanowiące obecnie jeden z fundamentów prawa międzynarodowego – jest pochodną idei suwerenności ludu. Jeśli to do ludu (czyli narodu) ma należeć władza, to musi on dysponować instytucjami, za pomocą których ją sprawuje; stąd też swoje prawo do suwerennego władania samym sobą może on zrealizować tylko we własnym państwie.

Ważnym elementem procesu prowadzącego do powstania tak rozumianego państwa narodowego był trwający w Europie Zachodniej przez niemal cały wiek XIX proces demontażu struktur feudalnych, zapoczątkowany przez rewolucję francuską. Była ona nie tylko rewolucją mieszczańską – była też rewolucją narodową. Uczyniła każdego mieszkańca Francji Francuzem: obywatelem, równym innym w świetle prawa, a to znaczy wolnym od reguł społeczeństwa stanowego, w którym chłop jest tylko poddanym szlachcica. Jeżeli naród ma się suwerennie rządzić, to musi składać się z równych i podmiotowych jednostek. W kręgu cywilizacji euro-atlantyckiej pojęcie obywatelstwa stało się nieodłącznym elementem nowoczesnej koncepcji narodu.

Koncepcja ta okazała się mieć niesłychany potencjał integracji i mobilizacji społecznej: za poczucie przynależności do „systemu wspólnych idei, znaków, skojarzeń”, ucieleśnionego we własnym państwie, ludzie okazali się być gotowi ginąć i zabijać z zapałem znacznie większym, niż miało to miejsce kiedykolwiek wcześniej. Postrzeganie narodu jako wspólnoty nadrzędnej wobec jednostki, połączone z przekonaniem o posiadaniu przezeń misji, skazującej go na darwinistyczną rywalizację z innymi wspólnotami, odpowiadało w dużej mierze za brutalność ekspansji kolonialnej, hekatombę I wojny światowej, wreszcie – za zbrodnie III Rzeszy. Powojenna Europa odrzuciła w związku z tym nacjonalizm; samo pojęcie narodu bynajmniej jednak nie straciło na znaczeniu – choć zaczęło być na różne sposoby redefiniowane. Współczesne państwa istnieją nadal jako państwa narodowe; zaś przekonanie, że posiadanie własnego państwa jest niezbędne dla zachowania i pielęgnowania swojej unikalnej zbiorowej tożsamości, jest wciąż żywe. Jak bardzo żywe, przekonuje nas historia Izraela oraz rozgrywająca się na naszych oczach walka Ukraińców o zachowanie własnej odrębności państwowej i narodowej.

XIX-wieczny ruch syjonistyczny zaczął przekształcać religijno-kulturową wspólnotę Żydów europejskich – kultywujących swoją odrębną tożsamość w diasporze przez ponad 1800 lat – w nowy rodzaj wspólnoty, dążący do stworzenia własnego państwa w Palestynie. I państwo takie

powstało, zaś proces jego budowy – i walka o jego przetrwanie wśród agresywnych sąsiadów – uczyniły z jego mieszkańców naród izraelski. Obywatele Ukrainy jeszcze 20 lat temu często wcale nie uważali się za Ukraińców, ich tożsamość narodowa była – zwłaszcza na terenach na wschód od Dniepru – rozmyta w niedookreślonej „postsowieckości”. Podobnie amorficzne i niemrawe było ukraińskie państwo, przeżarte korupcją, zdominowane przez potężne grupy wpływów i grę oligarchicznych interesów. Jednak rosnący opór przeciwko rosyjskim ingerencjom, wojna w Donbasie tocząca się od 2014 r. i wreszcie – konieczność obrony przed pełnoskalową inwazją, rozpoczętą przez Rosję w lutym 2022 r. – uruchomiły z jednej strony zmiany w strukturach tego państwa, z drugiej zaś – błyskawiczny proces narodotwórczy, który stał się jednym z czynników umożliwiających skuteczny opór przeciw najeźdźcy. Tak w przypadku Izraela, jak i Ukrainy, dla ich sukcesu decydująca okazała się wola upodmiotowionych obywateli: chcieli oni powstania i przetrwania swoich państw i gotowi byli w imię tej idei toczyć walkę i ponosić wyrzeczenia.

Wielu politologów i socjologów uważa, że pojęcie narodu jest już dzisiaj przestarzałe i zostanie zastąpione nowymi formami identyfikacji. Przywołane powyżej przykłady miałyby być tylko wyjątkiem, potwierdzającym regułę; anachronizmem wynikającym ze szczególnych okoliczności, niewystępujących już w Europie i państwach rozwiniętych. Nie jest wykluczone, że mają rację. W zglobalizowanym świecie tradycyjnie rozumiana tożsamość narodowa zmienia się na skutek procesów kulturowej unifikacji, łatwości przemieszczania się i – przynajmniej w Europie Zachodniej – braku zagrożeń zewnętrznych, prowadzącym do słabnięcia mechanizmów mobilizacyjnych. Jednak prognozowany schyłek państwa narodowego wciąż nie nastąpił, co więcej uczestnictwo w jego instytucjach wydaje się być obecnie jednym z kluczowych elementów budowy więzi pomiędzy coraz bardziej różniącymi się od siebie pod względem etnicznym mieszkańcami krajów europejskich. Osobiście stoję na stanowisku, że Gellnerowska definicja zachowuje aktualność, zmianie natomiast ulegać będzie treść „systemu wspólnych znaków, idei i skojarzeń”, a zwłaszcza rosnąć w nim będzie rola identyfikacji z elementami instytucjonalnymi (na podobieństwo modelu narodowości amerykańskiej, z założenia multi-etnicznego i unifikowanego przez uczestnictwo w amerykańskiej demokracji). Nie unieważnia to roli państwa narodowego, przeciwnie – wzmacnia ją (choć pojęcie narodu konstruowane będzie inaczej). Podstawa XIX-wiecznej idei narodowej pozostała żywa i funkcjonalna do dziś:

to posiadanie „własnego” państwa czyni z narodu wspólnotę polityczną, definiując zarazem jej tożsamość. W tym sensie – tak jak uważali XIX-wieczni nacjonaliści – to „państwo tworzy naród”.

Konstatacja ta pociąga za sobą nieoczywiste wnioski w odniesieniu do współczesnej Polski.

Polacy są wspólnotą, która państwo posiadała, jednakże straciła je dokładnie w przededniu momentu, który zapoczątkował formowanie się nowoczesnej koncepcji tożsamości narodowej. I Rzeczpospolita nie zdołała stworzyć narodu polskiego; była – w wymiarze wspólnoty politycznej – państwem „narodu szlacheckiego”, obejmującego zaledwie kilka procent zamieszkującej ją ludności. Jako naród nowożytny formowaliśmy się w okresie zaborów; odzyskana na krótko niepodległość okazała się epizodem, po którym nadszedł dziwny okres państwa dysponującego własną symboliką i tożsamością oraz szeregiem cech swoistych, ale pozbawionego suwerenności i odmawiającego swoim mieszkańcom podmiotowości politycznej. Rzeczywiście „własne” państwo uzyskaliśmy dopiero pomiędzy rokiem 1989 a 1991, kiedy to zniknęła stopniowo zależność wojskowa i polityczna od ZSRR i odbyły się wybory, w których obywatele po raz pierwszy sami zdecydować mogli, kto będzie nimi rządził.

Byliśmy wtedy, bez wątpienia, narodem. Ale, w porównaniu do narodów zachodnich, specyficznym. Już nie przed-nowoczesnym, bo dużą część procesów narodowotwórczych przeszliśmy w państwach zaborczych: to one zrealizowały odgórnie rewolucję antyfeudalną, której własną namiastką pozostaje dla nas powstanie kościuszkowskie. I to one – przede wszystkim liberalna monarchia austro-węgierska – dały nam doświadczenie obywatelskiej partycypacji w sprawowaniu władzy za pośrednictwem instytucji. Jednak najważniejszy proces, determinujący relację suwerennego narodu z państwem, który ukształtował systemy polityczne Zachodu w XX wieku, przeżyliśmy w formie karykaturalnie zdeformowanej. Procesem tym był konflikt pracy z kapitałem, w toku którego powstały systemy partyjne, oparte o podział na lewicę (reprezentującą proletariat – socjaldemokrację) i prawicę (reprezentującą mieszczaństwo – chadecję lub konserwatystów). Mimo rozwoju przemysłu w okresie zaborów i w dwudziestoleciu międzywojennym, pełnoskalowa industrializacja Polski przeprowadzona została dopiero przez komunistów; nastąpiło to w drodze przymusowej i irracjonalnej rewolucji przemysłowej, która nie prowadziła do powstania klasy średniej i wielkiego mieszczaństwa. Zatarło to i unieważniło doświadczenia z okresu wcześniejszego, prze-

de wszystkim zaś sprawiło, że ominęło nas całkowicie to, co przez ok. 100 lat stanowiło fundament rywalizacji politycznej na Zachodzie i co ukształtowało jego współczesne instytucje. Komunizm zerwał też ciągłość doświadczenia polskiej państwowości, wytwarzając nową elitę i nową strukturę społeczną; ponieważ zarazem okazał się systemem relatywnie długowiecznym i stabilnym, odpowiada w największym stopniu za uformowanie się polskości nie tyle „nowoczesnej”, co „współczesnej” (choć odległej od założeń, jakie twórcom systemu pierwotnie przyświecały: jak trafnie zauważył Rafał Ziemkiewicz, polską tożsamość narodową wykreowali wspólnie – choć w opozycji do siebie – prymas Wyszyński i Władysław Gomułka).

Podsumowując, specyfika polskiej wspólnoty narodowej pod koniec XX wieku składała się z czterech elementów:

- mieliśmy długą tradycję państwowości i własnej historii (stanowiącą rozbudowany fundament wspólnego systemu wyobrażeń) – ale przerwana w kluczowym dla powstania nowoczesnej tożsamości narodowej momencie; była ona tylko zbiorowym wspomnieniem;
- uformowanie narodu polskiego w XX-wiecznym znaczeniu tego słowa nastąpiło w okresie braku państwa i w opozycji do mocarstw zaborczych, co zdeformowało (w porównaniu z Zachodem) procesy kształtujące tożsamość wspólnoty politycznej;
- dodatkowo, ciągłość zbiorowego doświadczenia historycznego została całkowicie zerwana przez II wojnę światową i powstanie państwa komunistycznego, które stworzyło nową strukturę społeczną, całkowicie różną od społeczeństw zachodnich;
- doświadczenie funkcjonowania w PRL stworzyło dwuznaczną relację z państwem: z jednej strony, Polska Ludowa nie była traktowana jako państwo w pełni „własne”, z drugiej jednak – wytwarzała ona silne mechanizmy legitymizujące ją w oczach mieszkańców (*quasi-obywateli*), którzy identyfikowali się z nią w specyficzny sposób, inny niż uczestnicy zachodnich wspólnot politycznych.

Krótko mówiąc, w naszej historii, nie licząc krótkiego, trwającego 21 lat epizodu II Rzeczypospolitej, nie mieliśmy w ogóle państwa, które spełniałoby funkcję narodotwórczą w tym nowożytnym rozumieniu: państwa, którego wszyscy mieszkańcy należą do upodmiotowionej wspólnoty narodowej, stanowiącej jednocześnie zorganizowaną wspólnotę polityczną. Nie mieliśmy doświadczenia partycypacji w takim państwie, doświadczenia budowy jego instytucji, spierania się o nie, definiowania

ram dopuszczalnych i niedopuszczalnych zachowań politycznych... Nie mieliśmy niczego z tych rzeczy, wokół których tworzyła się tożsamość społeczeństw zachodnich od XIX wieku.

A po roku 1989 okazało się – nagle – że wszystko to musimy robić. W dodatku w realiach tego, co nazywa się „późną nowoczesnością”: w zglobalizowanej gospodarce z jej złożonymi procesami, wśród państw połączonych gęstą siecią wzajemnych zależności formalnych i nieformalnych, ograniczających drastycznie ich swobodę w stosunku do klasycznie rozumianej, XIX-wiecznej suwerenności. Ze strukturami władzy wreszcie własnymi – ale znajdującymi się w stanie daleko posuniętej atrofii i w dużym stopniu bezradnymi wobec tego wszystkiego i rozpaczliwie walczącymi o utrzymanie gospodarki na powierzchni. Z silnym poczuciem tożsamości, która jednak – po dokładniejszym oglądzie – okazywała się dziwnym zlepkiem toposów: z jednej strony komunistycznej propagandy (która starała się przez pół wieku tę tożsamość ukształtować), z drugiej – romantycznego oporu przeciw reżimowi.

I zaczęliśmy – wraz z naszym nowo uzyskanym państwem – ewoluować.

Ewolucja ta, zwłaszcza w pierwszym okresie, naznaczona była głęboką niechęcią do uznania własnej specyfiki. Po części wynikało to z czegoś, co nazwać by można chyba powszechnym kompleksem narodowym: Polacy, a zwłaszcza polska inteligencja (z której rekrutowała się absolutna większość liderów opozycji i czołowych polityków III RP), uważali, że należą do Zachodu, od którego odcięci zostali przez krzywdzący i niesprawiedliwy kaprys historii. Komunizm był w tej historii tragiczną aberracją, o której wszyscy chcieli zapomnieć (co ciekawe, jak się wkrótce okazało, najszybciej zapomnieć o nim chcieli byli komuniści). Dominowało pragnienie, aby dołączyć do Zachodu, od którego zostaliśmy – w powszechnym przekonaniu – tylko chwilowo oderwani. Najprostszym na to sposobem wydawało się kopiowanie jego rozwiązań, zarówno w odniesieniu do instytucji gospodarczych, jak i politycznych; w ten sposób powstał model transformacji imitacyjnej. Ułatwiały ją dwa czynniki: alternatyw w zasadzie nie było (a jeśli były – to ewidentnie gorsze), zaś traktujące Europę Środkowo-Wschodnią raczej paternalistycznie elity zachodnie w pełni wspierały taki przebieg tego procesu. Okazało się jednak, że kopiowane w toku transformacji instytucje działają inaczej, niż się tego spodziewano.

Rozwiązanie polegające na powierzeniu kontroli konstytucyjności (rozumianej jako merytoryczna kontrola ustawodawstwa zwykłego pod kątem tego, czy nie narusza ono konstytucyjnie zagwarantowanych praw podstawowych) rozpowszechniło się w Europie po drugiej wojnie światowej nie bez czynnego udziału Amerykanów, którzy aktywnie wpływali na kształt rozwiązań konstytucyjnych, przede wszystkim w odtworzonym państwie (zachodnio)niemieckim oraz we Włoszech, dążąc do tego, by sama prawno-polityczna konstrukcja tych państw stanowiła przeszkodę w odrodzeniu się w nich totalitarnej dyktatury. Jest bardzo charakterystyczne, że wyraźnie wyodrębnione od pozostałych organów państwa sądownictwo konstytucyjne dobrze przyjęło się w krajach mających totalitarną bądź autorytarną przeszłość (np. w Hiszpanii i Portugalii, odpowiednio – po śmierci generała Franco i obaleniu rządów następców Salazara). Wstrzeźliwość wobec tego rozwiązania zachowywały natomiast państwa o ugruntowanej tradycji demokratycznej, takie jak Wielka Brytania i Holandia, w których mechanizmy ochrony praw jednostki

określanego jako *Machtergreifung*, czyli „przechwycenie władzy”, przy czym poszczególne etapy charakteryzowały się zachowaniem legalności lub przynajmniej jej pozorów, zgodnie zresztą ze słowami samego Hitlera: „Konstytucja określa metody, ale nie określa celu. Zamierzamy więc uzyskać na drodze konstytucyjnej większość w ciałach ustawodawczych, a w momencie, gdy nam się to uda, przekształcimy państwo w sposób odpowiadający naszym ideom”. W odbytych w listopadzie 1932 r. wyborach NSDAP nie uzyskała jednak samodzielnej większości i dopiero sojusz z grupą konserwatywno-centrowych posłów pod wodzą Franza von Papena doprowadził do powierzenia Hitlerowi urzędu kanclerza. Kolejnym krokiem stało się wydanie przez urzędującego prezydenta Republiki Paula von Hindenburga rozporządzenia o stanie wyjątkowym (na podstawie konstytucji), do czego pretekstu dostarczyło podpalenie Reichstagu, o które Hitler oskarżył partię komunistyczną. Rozporządzenie ograniczyło drastycznie wolności osobiste i obywatelskie, umożliwiając aresztowanie posłów komunistycznych i socjaldemokratycznych, w wyniku czego NSDAP uzyskała faktyczną większość w Reichstagu, co umożliwiło wykonanie kroku ostatniego – uchwalenie 24 marca 1933 r. ustawy o nadzwyczajnych uprawnieniach (*Ermächtigungsgesetz*), dającej kanclerzowi prawo do wydawania rozporządzeń z mocą ustawy (w tym sprzecznych z konstytucją) oraz do samodzielnego zawierania umów międzynarodowych. Dopiero wydawane na podstawie *Ermächtigungsgesetz* rozporządzenia umożliwiły przekształcenie Niemiec w dyktaturę, w której wyłącznym prawodawcą stał się *Führer*. Co ciekawe jednak, ustawy norymberskie, dla nadania im większej rangi, uchwalone zostały w 1935 r. przez specjalnie zwołany w tym celu Reichstag.

realizowane były według modelu kontroli rozproszonej, przypominającej amerykański *judicial review*. Obydwie te tradycje opierały się jednak na analogicznym rozumieniu roli sędziów, jako merytorycznych kontrolerów władzy ustawodawczej – i obydwie wymagały pewnego wspólnego wyobrażenia elit zarówno politycznych, jak i prawniczych, co do tego, jak daleko sięgać może ingerencja państwa w prawa i wolności jednostki, i jak daleko sięgać może ingerencja sędziów w kształt polityki, realizowanej przez demokratycznie wybrane rządy. Kompromis ten nie miał oczywiście postaci stałej równowagi, wręcz przeciwnie – przybierał raczej postać nieustannych konfliktów, w toku których obie strony starały się przesunąć granicę na swoją korzyść, ostatecznie jednak przez długi czas udawało im się zachować funkcjonalność państwa jako całości: sędziowie uciekali się do blokowania norm uznanych za niekonstytucyjne stosunkowo rzadko, politycy zaś, w przypadku odrzucenia ich rozwiązań przez sędziów, cierpliwie poddawali je modyfikacjom, uzyskując ostatecznie efekt zbliżony do zamierzonego¹⁴.

Postkomunistyczne państwa Europy Środkowo-Wschodniej – pozbawione jakiegokolwiek własnej tradycji rozproszonej kontroli konstytucyjności w modelu *judicial review* – bez wyjątku powieliły w swoich demokratycznych konstytucjach rozwiązania wprowadzające trybunały konstytucyjne jako centralne organy *quasi-sądowe*, właściwe do badania zgodności ustawy z konstytucją. Zrównało to ich elity prawnicze z dnia na dzień z elitami politycznymi, zaś wobec opisywanej wcześniej słabości władzy politycznej państwa postkomunistycznego – uczyniło sędziów arbitrami polityki w stopniu, jakiego nigdy nie udało się osiągnąć ich kolegom z Zachodu. Jednak elity prawnicze krajów postkomunistycznych nie miały za sobą doświadczenia ponad stuletniej rywalizacji z politykami, w toku której wykształcił się kompromisowy *modus* ich wzajemnej koegzystencji, opisany w zarysie powyżej. Ich zbiorowe doświadczenia

¹⁴ Stopniowo jednak rola odgrywana przez sędziów zaczęła się zwiększać: w większości krajów wzrastała zarówno liczba aktów prawnych poddawanych kontroli konstytucyjności, jak i liczba orzeczeń skutkujących uznaniem poszczególnych ustaw za niekonstytucyjne. Wiąże się to również ze zjawiskiem aktywności sędziowskiej, czyli celowym wpływaniem na kształt prawa przez organy sądowe. Kwestia, czy jest to proces nieunikniony i w jakim stopniu przynosi on skutki pozytywne, a w jakim negatywne, jest aktualnie przedmiotem intensywnej dyskusji na Zachodzie, jej przytoczenie jednak wykracza poza ramy niniejszej pracy.

współistnienia z totalitarną władzą były inne i przełożyły się na inne mechanizmy ich środowiskowej kultury.

2. Sprawiedliwość i dyktatura

Opisanie sposobu, w jaki działa wymiar sprawiedliwości – jakkolwiek – wymaga wzięcia pod uwagę, że jednym z najważniejszych elementów determinujących całość jego funkcjonowania jako systemu są kody kulturowe środowiska prawników, rozumianego jako pewna całość. Sędziowie nie są istotami zawieszonymi w próżni, specyfika edukacji i kariery prawniczej powoduje, że mają one charakter również swoistego treningu środowiskowego, kształtującego bardzo silnie więzi międzyludzkie i poczucie lojalności korporacyjnej, jak i postawy uważane za właściwe. Ta środowiskowa formacja prawnika do pełnienia jego roli społecznej rzutuje w ogromny sposób na funkcjonowanie sądownictwa; chociażby przez to, że wynika z niej określony etos pracy, nie mówiąc już o kwestiach takich, jak podatność na korupcję. Oczywiście to, w jaki sposób środowisko prawników postrzega i sprawuje swoją funkcję społeczną (i wychowuje do niej kolejne pokolenia), jest rezultatem czynników zewnętrznych, uwarunkowanych historią i kulturą danego kraju.

Jednak specyfika zawodu wykonywanego przez prawników rodzi pewien uniwersalny i szczególny mechanizm, integrujący tę grupę zawodową, *nota bene* mechanizm istniejący od czasów starożytnego Rzymu: dla procesu kształtowania się wewnątrzśrodowiskowej hierarchii i wyłaniania środowiskowych autorytetów, zdolnych do odgrywania roli politycznej tam, gdzie prawo wchodzi w konflikt z władzą, kluczowe znaczenie ma sztuka argumentacji. Prawnicy są ludźmi zajmującymi się interpretacją norm, sposób dokonywania tej interpretacji podlega pewnym regułom. Nie są one tak jednoznaczne i precyzyjne, jak reguły, w oparciu o które informatycy konstruują swoje programy, jednakże – wbrew intuicjom laików – są one dalekie od zupełnej dowolności. Prawnik nie może wymyślić i powiedzieć wszystkiego, jego argumenty podlegają ocenie (innych prawników) i będą kwalifikowane jako „lepsze” lub „gorsze” według specyficznych reguł wnioskowania, nad którymi panują tylko prawnicy. Studia prawnicze z ich z reguły surowymi wymaganiami pełnią tu funkcję kluczowego *gate keepera*: korporacje jurystów preferują ludzi cechujących się dobrą pamięcią, zdolnością do przyswojenia skomplikowanych reguł argumentacji i hermetycznego języka, wreszcie – ludzi, którzy po prostu lubią bez końca dyskutować o tym, co tak naprawdę znaczy dany przepis.

A przy okazji, ludzie o nieco zamkniętych umysłach, których w zasadzie nie interesuje nic innego (co jest do pewnego stopnia trenowalne i czemu studia prawnicze sprzyjają). Dlatego też pewnym społecznym kosztem, ponoszonym przez prawników w związku z ich elitarnością, jest nie tylko częste przypisywanie im licznych ujemnych cech (takich jak cynizm i chciwość), ale też przede wszystkim postrzeganie ich jako nudnych i zadufanych w sobie. Prawnicy to ludzie, którzy lubią rozmawiać przede wszystkim o prawie i najlepiej czują się we własnym towarzystwie, co jest zresztą zupełnie zrozumiałe, zważywszy, że z nikim innym nie mają o czym porozmawiać¹⁵. Wzmacnia to dodatkowo ich i bez tego silną solidarność środowiskową, która – choć przybiera postać przede wszystkim lojalności korporacyjnej, związanej z wykonywaniem konkretnego zawodu – ma też jednak wymiar pewnego rodzaju poczucia wspólnoty ze wszystkimi, którzy przeszli przez wymagający trening studiów prawniczych i aplikacji.

Wykształcenie prawnicze, jako jedno z nielicznych, pozwala też na uzyskanie efektu wyjątkowej synergii w razie połączenia kariery naukowej z zawodową: prawnik z doktoratem, nie mówiąc już o profesurze, zwiększa swoje szanse na pozyskanie klientów (lub swój autorytet jako sędziego), jednocześnie zaś wiedza i doświadczenie nabyte w trakcie wykonywania zawodu przekłada się na jego możliwości naukowej analizy przepisów i ułatwia mu pisanie kolejnych komentarzy i glos. Jednym z efektów tego zjawiska jest silniejsze niż gdzie indziej zrośnięcie prawniczych elit zawodowych z akademickimi i wysoki prestiż tych ostatnich w całej społeczności prawników.

Krótko mówiąc, prawnicy – i to raczej bez względu na system polityczny, w którym funkcjonują – mają tendencję do uznawania ideału pewnego rodzaju „mądrości” i „fachowości” za istotne kryterium oceny człowieka; ta zaś mądrość i fachowość mierzone są zdolnością do wygrania, odbywającej się według specyficznych reguł, debaty. Debata, której istotą jest treść prawa. Uważam, że jest to jeden z podstawowych czynników wpływających historycznie na „naturalne” dążenie prawników do niezależności od władzy politycznej: jej sprawowanie stanowi

¹⁵ Brak niestety statystyk dotyczących małżeństw pomiędzy poszczególnymi grupami zawodowymi, pobieżny ogląd wydaje się jednak sugerować, że obok lekarzy (również stanowiących hermetyczną grupę zawodową), prawnicy są profesją w obrębie której najczęściej zawierane są małżeństwa pomiędzy jej przedstawicielami.

w ich oczach często po prostu wartość drugorzędną, której niespecjalnie oni pożądamy¹⁶. Choć nie zawsze i nie wszędzie, ale stosunkowo często – i na pewno we współczesnej Polsce – środowisko prawników jako całość dystansuje się od środowiska polityków, w dużej mierze dlatego, że w procesie socjalizacji tych pierwszych wpojono im, że godna pożądaniami nie jest ani władza polityczna, ani związane z nią apanaże, lecz przede wszystkim – uznanie innych prawników. Tego zaś nie da się uzyskać na drodze kariery politycznej, można to natomiast osiągnąć, dużo publikując, wygrywając głośne procesy i zajmując wysokie stanowiska w wymiarze sprawiedliwości¹⁷.

Co ciekawe, ta cecha polskiego środowiska prawniczego została mocno utrwalona w PRL-u. Partii komunistycznej, podobnie jak w przypadku Kościoła i kolektywizacji, nie udało się osiągnąć efektu pełnego podporządkowania prawników swojej woli i przekształcenia ich – według modelu sowieckiego – w całkowicie posłusznych biurokratów (choć osiągnęła na tym polu znaczne postępy). Mimo dramatycznych strat, jakie polskie środowisko prawnicze poniosło podczas drugiej wojny światowej¹⁸, prawnicy przedwojenni w pewnym stopniu zasilili kadry komunistycznego wymiaru sprawiedliwości i adwokatury, a zwłaszcza obecni byli na uniwersytetach. Masowy nabór nowych ludzi – przede wszystkim do sądownictwa karnego i wojskowego – nie doprowadził do całkowitego wyparcia przedwojennych wzorców. Szczególne znaczenie miała tu odmienność roli pełnionej w PRL przez sądownictwo karne i cywilne. To pierwsze, jako narzędzie represji, zbudowane zostało w dużej mierze z ludzi nowych (nierzadko powoływanych mimo braku rzetelnego wykształcenia prawniczego), było silnie oparte na wzorcu dyspozycyjności wobec partii i poddane, do końca istnienia PRL, ścisłej kontroli z jej strony. Jednak nawet

¹⁶ Nie jest to oczywiście reguła uniwersalna. W starożytnym Rzymie zawód prawnika mógł być przepustką do polityki (jak w przypadku Cyncerona) i analogiczna sytuacja ma miejsce we współczesnych Włoszech, gdzie system *revolving doors* pomiędzy światem prawników a światem polityki jest uważany za jedną z przyczyn korupcji wymiaru sprawiedliwości.

¹⁷ Za dość charakterystyczne uważam, że mamy w Polsce tylko jednego prawnika-polityka *par excellence* i jest nim Roman Giertych, którego skuteczność w polityce jest *nota bene* zerowa, zaś jego publiczna działalność wydaje się służyć przede wszystkim pozyskiwaniu klientów ze świata polityki.

¹⁸ Według różnych źródeł, wojny nie przeżyło co najmniej 26% ludzi posiadających wykształcenie prawnicze.

po powołaniu specjalnych sądów karnych, podporządkowanych resortowi sprawiedliwości i mających rozpatrywać sprawy osób cywilnych oskarżonych o przestępstwa polityczne określone w dekrecie z 31 sierpnia 1944 r. *o wymiarze kary dla faszystowsko-hitlerowskich zbrodniarzy...*¹⁹, partia szybko uznała, że nie spełniają one jej oczekiwań co do represjonowania żołnierzy podziemia poakowskiego. Spowodowało to przekazanie jurysdykcji nad osobami cywilnymi oskarżonymi o przestępstwo polityczne nowo utworzonym sądom wojskowym. Powoływano do nich również przedwojennych prawników²⁰, ale gros kadry orzekającej stanowili absolwenci przyspieszonych kursów prawniczych, w tym niesławnej „Duraczówki” – Oficerskiej Szkoły Prawniczej im. Teodora Duracza, mającej kształcić prawników wojskowych²¹. Osoby kierowane do odbycia szkoleń w tego rodzaju ośrodkach często typowane były uprzednio przez kontrwywiad, czyli Informację Wojskową²², co zapewniało ich późniejszą całkowitą dyspozycyjność²³.

¹⁹ Pełna nazwa: *O wymiarze kary dla faszystowsko-hitlerowskich zbrodniarzy winnych zabójstw i znęcania się nad ludnością cywilną i jeńcami oraz zdrajców Narodu Polskiego* nie oddawała rzeczywistych celów, dla których wydano dekret, służył on bowiem nie tylko ściganiu przestępstw popełnionych w okupowanej Polsce przez Niemców i kolaborantów, ale też, w równym stopniu, do eliminacji żołnierzy podziemia poakowskiego i represjonowaniu byłych członków AK – nawet tych, którzy nie zeszli do podziemia po powstaniu Polski Ludowej (AK była przez komunistów oskarżana o kolaborację z Niemcami).

²⁰ Jak np. Włodzimierza Ostapowicza – absolwenta Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, który wydał łącznie ok. 300 wyroków śmierci.

²¹ Jednym z absolwentów „Duraczówki” był przyrodni brat Adama Michnika, Stefan Michnik, który jako sędzia wojskowy wydał co najmniej 6 wyroków śmierci na działaczy podziemia niepodległościowego.

²² Podlegającą w początkowym okresie swojego funkcjonowania bezpośrednio ogniom sowieckiego kontrwywiadu wojskowego *Smiersz*.

²³ O rzeczywistej naturze relacji pomiędzy sędziami wojskowymi, wydającymi wyroki na żołnierzy podziemia, a Informacją Wojskową (prowadzącą – obok UB – śledztwa w ich sprawach) świadczą zachowane we wspomnieniach ofiar cytaty z wypowiedzi przesłuchujących ich oficerów: „Jeżeli my zechcemy, to dziś zrobimy rewizję u wszystkich członków Sądu Najwyższego, a jutro oni tu będą siedzieć na stołku i przyznają się do wszystkiego, co my zechcemy”; „Sądy w Polsce to pic i fotomontaż. Tu się kroi i tu się szyje. Sądy są od tego, aby zaprasować nasz wyrok i ogłosić go”; oraz słynna wypowiedź sędziego Najwyższego Sądu Wojskowego, Teofila Karczmarza (nieposiadającego nawet wyższego wykształ-

W 1955 r., na fali odwilży, kognicję sądów wojskowych ograniczono jednak do spraw żołnierzy, likwidując owiane złą sławą Wojskowe Sądy Rejonowe (których głównym zadaniem była eliminacja przeciwników politycznych)²⁴. Październik wywołał spory ferment w samym środowisku prawniczym, którego przedstawiciele domagali się usunięcia z wymiaru sprawiedliwości najbardziej skompromitowanych i dyspozycyjnych sędziów, a nawet pociągnięcia ich do odpowiedzialności karnej²⁵. W sprawozdaniu tzw. komisji Mazura-Wasilewskiego²⁶ wnioskowano o wszczęcie postępowania karnego wobec trzech sędziów Najwyższego Sądu Wojskowego, a także wskazywano na bezpośrednią odpowiedzialność za mordy sądowe prezesa tego sądu i jego zastępcy²⁷. Postulaty te nie zostały zrealizowane, jednak pewna (niewielka) część sędziów stalinowskich odeszła z sądownictwa. Sądy karne pozostawały mimo to niezmiennie dyspozycyjne wobec partii, zarówno w sprawach *stricte* politycznych²⁸, jak i w sprawach kryminalnych, mających znaczenie dla władzy²⁹.

cenia): „No cóż, prokuratorze, dowodów nie ma, ale my, sędziowie nie od Boga, i bez dowodów zasuniemy kaesa [karę śmierci], jak trzeba”.

²⁴ Przed WSR toczył się m.in. proces biskupa Kaczmarka i proces kurii krakowskiej. Szacuje się, że łącznie WSR wydały ok. 3500 wyroków śmierci, zaś łączna liczba mordów sądowych w latach 1944-1956 wyniosła ponad 5500 (z czego ok. połowę wykonano).

²⁵ Domagał się tego m.in. Mieczysław Szerer, sędzia Sądu Najwyższego.

²⁶ Komisja ta powołana została 10 grudnia 1956 r. w wyniku porozumienia ministra obrony narodowej, ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego PRL; w wyniku jej ustaleń władze poczyniły przygotowania do wszczęcia śledztwa w sprawie większej nawet liczby sędziów NSW, jednak ostatecznie partia wycofała się z tego pomysłu.

²⁷ Wilhelma Świątkowskiego i Aleksandra Tomaszewskiego, obaj byli obywatelami ZSRR i wyjechali z Polski po 1956 r.

²⁸ Jak dowodzą tego procesy marcowe, proces tzw. taterników, represje wobec działaczy KOR i uczestników strajków, czy wreszcie kary orzekane na podstawie dekretu o stanie wojennym.

²⁹ Tak było w przypadku tzw. afery mięsnej, w której w 1965 r. za przestępstwo gospodarcze na karę śmierci (wykonaną) skazany został dyrektor przedsiębiorstwa państwowego, Stanisław Wawrzecki. Przewodniczącym składu sędziowskiego był słynny Roman Kryże, przedwojenny jeszcze sędzia, po wojnie orzekający w NSW w procesach politycznych (m.in. skazał na śmierć Witolda Pileckiego), oddelegowany do tej sprawy specjalnie z Sądu Najwyższego. Proces Wawrzeckiego toczył się z rażącym naruszeniem elementarnych zasad prawa

Inaczej miała się sprawa z cywilistami. Ten obszar sądownictwa interesował partię komunistyczną w znacznie mniejszym stopniu i choć nominacje sędziowskie podlegały zatwierdzeniu przez partię w ramach systemu nomenklatury, to sądownictwo cywilne wchłonęło dużą liczbę prawników przedwojennych³⁰. Zdołali też oni utrzymać się na uniwersytetach lub powrócić na nie po Październiku, co pozwoliło na zreprodukowanie części wzorców kulturowych przedwojennej elity prawniczej wśród absolwentów PRL-owskich uczelni. Obszar prawa cywilnego – zarówno w sądownictwie, jak i w nauce – sprzyjał wręcz zajęciu wobec komunizmu postawy „dyskretnie zdystansowanej”: naciski partii były – jeśli były – nieporównywalnie mniejsze niż na karnistów, nawet zaś gdy do nich dochodziło, to uleganie im nie oznaczało posyłania niewinnych ludzi na śmierć ani do więzienia. Skala kompromisów – a więc i skala deprawacji ludzi, którzy musieli je zawierać – była znacznie mniejsza. Pomijając okres stalinizmu, prawnik-cywilista miał w PRL-u dużo większe możliwości niż pozostali, aby kultywować opisany wyżej wzorzec niechęci wobec aspirowania do stanowisk politycznych i szukania zamiast tego prestiżu, przede wszystkim w oczach kolegów-prawników. Ostatecznie żaden partyjny, choćby nie wiem, jak chciał, nie był w stanie zaingerować w teo-

PRL, prowadzono go bowiem w trybie doraźnym, na podstawie dekretu z 1945 r., zamiast na podstawie kodeksu postępowania karnego.

Drugą głośną sprawą kryminalną, w której dyspozycyjność sędziów karnych doprowadziła do skazania na śmierć najprawdopodobniej całkowicie niewinnego człowieka, jest proces seryjnego zabójcy – „wampira z Zagłębia”, toczący się w latach 1974-1976. Tak śledztwo, jak i proces odbywały się pod ogromną presją polityczną, ponieważ jedną z ofiar „wampira” padła bratanica Gierka. Za sprawcę uznano Zdzisława Marchwickiego, choć – w świetle dostępnej dzisiaj wiedzy – wiele wskazuje, że zbrodni dokonał kto inny. Co ciekawe, wkrótce potem, za udział w innym zabójstwie, osądzono dwóch braci Marchwickiego, Jana i Henryka. Ten ostatni został skazany na śmierć (wyrok wykonano), zaś Jan na 25 lat więzienia; podczas odbywania kary deklarował on wielokrotnie, że wszyscy Marchwiccy skazani zostali bezpodstawnie, a po wyjściu z więzienia zmarł w 1998 r. niewyjaśnionych okolicznościach.

³⁰ Oczywiście o jakiegokolwiek niezawisłości sędziów – również cywilnych – nie mogło być mowy. Prawo o ustroju sądów powszechnych przez cały czas istnienia PRL przewidywało wprost możliwość odwoływania sędziów z przyczyn politycznych – „niedawania rękojmi należytego wykonywania obowiązków”, co w połączeniu z zasadą kadencyjności SN przesądzało o definitywnym podporządkowaniu sądownictwa ministerstwu sprawiedliwości – a więc partii.

retyczną dyskusję na temat podwójnego skutku umowy zobowiązującej. Nieco nieoczekiwanym rezultatem tej sytuacji stała się bardzo wysoka jakość dorobku polskiej nauki prawa cywilnego w okresie PRL i będący jej efektem kodeks cywilny, opracowany w dużej mierze przez przedwojennych jeszcze prawników, działających w Komisji Kodyfikacyjnej³¹. Kodeks ten – mimo że uchwalony w 1964 r. – oferował dobrze przemyślane regulacje dla obrotu cywilnoprawnego opartego na prywatnej własności (efekt zaniechania kolektywizacji przez Gomułkę) i był do tego stopnia nie-socjalistyczny, że po upadku komunizmu wystarczyło usunąć z niego zaledwie kilkanaście nacechowanych ideologicznie artykułów, bez szkody dla całości, aby móc go stosować w gospodarce rynkowej (stosujemy go zresztą – z powodzeniem – do dzisiaj)³².

Jednym ze skutków dystansu zachowywanego wobec reżimu przez prawników związanych z prawem cywilnym był nieoczekiwane „zachodni” efekt ich oddziaływania na władzę. Zwłaszcza w późnym PRL-u orzeczenia sądów cywilnych stały się jednym z czynników hamujących kontrolę totalitarnego państwa nad jego obywatelami: sędziowie, mając do dyspozycji *de facto* „burżuazyjny” kodeks cywilny, oparty na własności prywatnej, stawali się w pewnym stopniu jej obrońcami. Tak było np. w przypadku rozszerzenia przez orzecznictwo w latach 70-tych zakresu odpowiedzialności Skarbu Państwa za szkody wyrządzone przez funkcjonariuszy państwowych³³; w 1987 r. Sąd Najwyższy posunął się nawet do

³¹ Takich jak prof. Aleksander Wolter, przedwojenny sędzia, wchodzący w II RP w skład Komisji Kodyfikacyjnej, opracowującej ustawy unifikujące prawo pozaborowe na potrzeby nowo powstałego państwa, a w latach 1948-1951 sędzia Sądu Najwyższego, później zaś profesor UMCS w Lublinie; czy Stefan Grzybowski, rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego w latach 1958-1962.

³² Opracowany w toku profesorskich dyskusji kodeks cywilny wprowadzał m.in. konstrukcję ogólnej odpowiedzialności odszkodowawczej za niewykonanie umowy, którą Niemcy – po wielu debatach – zdecydowali się przyjąć dopiero w ramach reformy prawa zobowiązań z... 2002 r.

³³ Co znalazło ostatecznie swój wyraz w sformułowanych przez Izbę Cywilną SN wytycznych wymiaru sprawiedliwości w 1971 r., stanowiących, jak zauważył prof. Andrzej Kubas, „jednoznaczne opowiedzenie się Sądu Najwyższego po stronie obywateli przeciwko komunistycznemu państwu, przeciwko jego materialnym interesom”.

uznania za bezprawne niektórych przypadków wywłaszczeń, dokonywanych przez komunistyczne władze w latach 40-tych i 50-tych³⁴.

Sądownictwo cywilne i karne stanowiły w PRL-u dwa w dużej mierze odrębne światy. W pewnym uproszczeniu powiedzieć można, że sędziowie karni w wymiarze kulturowym i klasowym należeli raczej do nomenklatury, sędziowie cywilni zaś raczej do inteligencji, choć – z racji ich usytuowania w strukturze władzy – nie odważali się przed powstaniem „Solidarności” na jednoznaczny sprzeciw wobec reżimu. Zdarzało się to jednak adwokatom, których część od lat 70-tych zaczęła angażować się po stronie opozycji demokratycznej. Polska adwokatura zapisała piękną kartę w historii zmagania inteligencji z PRL-em, głównie dzięki ludziom takim jak Jan Olszewski³⁵, Jacek Taylor³⁶, Maciej Bednarkiewicz³⁷, Władysław Siła-Nowicki³⁸ – i wielu innych, o mniej znanych nazwiskach. Śro-

³⁴ Uchwała 7 sędziów SN z 8 grudnia 1987 r., III CZP 47/87. Z uwagi na bardzo ograniczony zakres przypadków (chodziło o wywłaszczenia właścicieli pensjonatów) nie miała ona daleko idących skutków praktycznych, jednakże – zważywszy na moment jej podjęcia – potraktować ją można jako pewnego rodzaju demonstracyjny przejaw dążenia sądownictwa cywilnego do niezależności od reżimu.

³⁵ Późniejszy premier był obrońcą w procesach politycznych od lat 60-tych (bronił m.in. Wańkowicza, Kuronia Modzelewskiego i Michnika oraz studentów w procesach „pomarcowych”).

³⁶ Współpracownik KOR, obrońca biorący udział w procesach ponad 150 opozycjonistów, w tym najbardziej znanych – Wałęsy, Kuronia, Michnika, Gwiazdy, Walentynowicz i małżeństwa Romaszewskich; działacz KOR, współautor statutu „Solidarności”, jeden z założycieli Komitetu Obrony Więzionych za Przekonania w grudniu 1980, działacz podziemnej „Solidarności”. W procesie zabójców księdza Popiełuszki reprezentował rodzinę ofiary jako oskarżyciel posiłkowy.

³⁷ Obrońca w sprawach politycznych, występujący w procesach sprawców masakry na Wybrzeżu w latach 70-tych, współpracownik Komitetu Prymasowskiego, angażujący się w pomoc internowanym w stanie wojennym, pełnomocnik poetki Barbary Sadowskiej, matki Grzegorza Przemyka – maturzysty, śmiertelnie pobitego w maju 1983 r. przez milicję w Warszawie.

³⁸ Żołnierz Września 1939, a następnie Armii Krajowej oraz Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość”; za udział w tym ostatnim skazany w 1948 r. przez Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie na karę śmierci (w jednym procesie z Hieronimem Dekutowskim „Zaporą”, słynnym dowódcą partyzanckim). Karę zamieniono mu na dożywocie, dzięki czemu przeżył i wyszedł na wolność w 1956 r.; od początku angażował się w rodzącą się działalność opozycyjną, bronił w procesach politycznych m.in. KOR, KPN, a także członków „Solidarności” w okresie stanu

dowisko adwokackie włączyło się w działalność legalnej „Solidarności”, opracowując projekty zmian prawnych przyjęte na I Zjeździe Związku, w tym projekt ustawy o Trybunale Konstytucyjnym, powołanie którego było jednym z postulatów wysuwanych przez „Solidarność” w ramach podejmowanych przez nią prób zreformowania państwa komunistycznego. Jest pewną ironią losu, że postulaty te zrealizował generał Jaruzelski w ramach podejmowanych przez siebie prób reanimowania komunizmu.

3. Emancypacja sędziów

U progu lat 80-tych polskie sądownictwo było strukturą stabilną i całkowicie kontrolowaną przez władzę. Nie stanowiło jednak społeczności w pełni homogenicznej: do PZPR należało ok. 60% sędziów, zaś ok. 32% było bezpartyjnych³⁹. Wyższy stopień upartyjnienia wykazywały sądy karne, partyjni byli też z reguły prezesi sądów. Nie oczekiwano jednak od wszystkich sędziów jednakowego serwilizmu i dyspozycyjności, *gros* rozpoznawanych spraw nie miało wszak charakteru politycznego. Jak zauważył Krzysztof Kauba⁴⁰, „dla zabezpieczenia interesów władz ludowych w każdym sądzie rejonowym wystarczał nawet jeden, a w sądzie wojewódzkim najwyżej dwóch dyspozycyjnych sędziów”. Świadomość, że sędziowie tacy istnieją i są władzy potrzebni, była powszechnie akceptowana również przez tych przedstawicieli Temidy, którzy starali się od władzy zdystansować. Jak pisał inny związany z „Solidarnością” prawnik, Adam Strzembosz⁴¹: „w środowisku sędziowskim utarło się przekonanie, że ustrój socjalistyczny i władza PZPR były nienaruszalne i należało się pogodzić z sytuacją, w jakiej znajdowało się sądownictwo. Sędziowie

wojennego i świadków Jehowy w procesach za odmowę służby wojskowej. Od 1980 r. był doradcą NSZZ „Solidarność”.

³⁹ Pozostali należeli do SD lub ZSL.

⁴⁰ Sędzia Sądu Wojewódzkiego w Warszawie, który w 1980 r. czynnie zaangażował się w „Solidarność”, za co zapłacił utratą stanowiska. W latach 90-tych rzecznik prasowy Sądu Najwyższego.

⁴¹ Sędzia Sądu Wojewódzkiego w Warszawie, profesor Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, jeden z głównych twórców „Solidarności” pracowników wymiaru sprawiedliwości, członek prezydium Komisji Koordynacyjnej NSZZ „Solidarność” i członek zarządu regionu „Mazowsze”; usunięty ze stanowiska po wprowadzeniu stanu wojennego. Jeden z głównych autorów reformy sądownictwa przeprowadzonej w 1989 r.; od 1990 r. pierwszy prezes Sądu Najwyższego.

wykonywali swą pracę, a ich pracodawcą było socjalistyczne państwo, a rozumując mniej abstrakcyjnie, a bardziej realnie, kierująca państwem PZPR i administracja sądowa”.

Kontrola nad naborem kadr do wymiaru sprawiedliwości realizowana była – podobnie jak duża część pozostałych mechanizmów sterowania sądownictwem – przede wszystkim rękami samych sędziów, poprzez silną pozycję prezesów sądów i przewodniczących wydziałów. Prezesi dobie-rani byli pod bezpośrednim nadzorem partii, co miało być gwarancją, że kierowane przez nich sądy działać będą „odpowiednio”; dysponowali oni możliwościami oddziaływania na sędziów przede wszystkim instrumentami finansowymi⁴². Szczególną rolę w systemie sądownictwa odgrywał Sąd Najwyższy, nie tylko jako ostatnia instancja *quasi*-odwoławcza, ale przede wszystkim jako organ o nadzwyczajnych uprawnieniach, pozwalających narzucać sądom powszechnym określoną wykładnię prawa, co formalnie służyć miało ujednoczeniu orzecznictwa, zaś faktycznie – zapewniało zgodność działań sędziów z intencjami władzy. Sąd Najwyższy podlegał szczególnej kurateli ze strony partii, co przejawiało się zwłaszcza w kadencyjności członków tego organu: sędzią SN zostawało się tylko na 5 lat, o ewentualnym przedłużeniu tego mandatu decydowała partia⁴³. Zarówno sędzia SN, jak i sędzia sądu powszechnego mogli być w każdej chwili usunięci ze stanowiska ze względu na utratę przez nich „rękojmi należytego wykonywania obowiązków”. Ponadto, sądy podlegały stałemu nadzorowi administracyjnemu ze strony ministerstwa sprawiedliwości, które z kolei zdawało sprawę ze swoich poczynań Wydziałowi Administracyjnemu KC PZPR, odpowiedzialnemu za politykę partii wobec sądownictwa.

⁴² Sędziowie w PRL nie byli dobrze wynagradzani. Na otrzymywane przez nich pensje składały się – oprócz uposażenia podstawowego – również dodatki, nagrody i innego rodzaju „bonusy”, o przyznaniu (i cofnięciu) których decydował prezes sądu.

⁴³ W doborze sędziów SN przywiązywano szczególną wagę do ich lojalności. Stopień upartyjnienia wynosił w ich przypadku ponad 80%, zaś w sądzie tym zasiadały w latach 80-tych takie postaci, jak Józef Ostaś – pracownik MO i UB od 1945 r., wieloletni aparatczyk, członek Komitetu Centralnego (gdzie nadzorował sądownictwo jako kierownik Wydziału Administracyjnego) i następnie zastępca Prokuratora Generalnego PRL, czy Barbara Błochowska, której kariera rozpoczęła się od stanowiska maszynistki w powiatowym Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego w latach 1945-1949, skąd przeszła na stanowisko sekretarza propagandy komitetu powiatowego PZPR, by w latach 70-tych nieoczekiwanie rozpocząć karierę w sądownictwie i zostać sędzią SN w 1977 r.

Pomimo tak złożonego i dość finezyjnego modelu kontroli partyjnej, podpisanie porozumień sierpniowych w 1980 r. wywołało w sądownictwie ferment, który uruchomił w nim proces głębokich zmian. Nie bez znaczenia był tu fakt, że w latach 70-tych korpus sędziowski uległ znaczącemu odmłodzeniu: z przyczyn naturalnych odeszła z niego duża liczba sędziów wywodzących się z czasów stalinowskich, zaś przeprowadzona przez Gierka reforma podziału terytorialnego kraju⁴⁴ pociągnęła za sobą powołanie 48 sądów wojewódzkich zamiast dotychczasowych 19. Z ok 4000 etatów sędziowskich istniejących w 1980 r., blisko 1700 obsadzonych zostało sędziami nominowanymi w dekadzie 1970-1980; w roku 1979 75% sędziów było w wieku poniżej 50 lat (a więc nie pochodzili z naboru stalinowskiego z lat 40-tych i 50-tych). Kariera sędziowska w czasach gierkowskich mogła być – i wielu przypadkach była – wyborem oportunistycznym, należy zwrócić jednak uwagę, że był to oportunizm innego rodzaju, niż ten który towarzyszył podjęciu decyzji o np. karierze partyjnej. Znacznie większych kompromisów z własnym sumieniem wymagało zostanie prokuratorem (nie mówiąc już o służbie „w organach”, które chętnie przyjmowały magistrów prawa), dostęp do zawodu adwokata był bardzo mocno ograniczony ilością dostępnych na aplikacji miejsc, zaś zawód notariusza, będącego w tych czasach urzędnikiem państwowym, był nieatrakcyjny pod każdym względem. Można zaryzykować więc tezę, że do sądownictwa dość często trafiali ludzie, mający pewne ambicje zawodowe i szukający możliwości ich realizacji w strukturach niewymagających absolutnej (lub bardzo dużej) dyspozycyjności wobec reżimu. Godząc się zarazem na to, że ceną za mniejszy niż gdzie indziej zakres dyspozycyjności będzie stosunkowo niskie (w stosunku do tych ambicji) uposażenie – sędziowie w PRL wynagradzani byli kiepsko.

Niemal tysiąc z nich, ponad jedna czwarta całego korpusu sędziowskiego, zapisała się do „Solidarności”⁴⁵. Pracownicy wymiaru sprawiedliwości utworzyli w ramach Związku własną, mocno autonomiczną strukturę: sekcję branżową, do której należeli zarówno sędziowie, jak i przedstawiciele innych zawodów prawniczych oraz pracownicy administracyjni sądów. Sekcja posiadała własny organ centralny, koordynujący

⁴⁴ Likwidacja powiatów i utworzenie 49 województw w 1975 r.

⁴⁵ Wśród nich było jednakże tylko trzech czynnych (Stanisław Rudnicki, Zofia Wasilkowska, Konrad Zieliński) i dwóch emerytowanych (Juliusz Dankowski i Juliusz Tyszką) sędziów Sądu Najwyższego, na łączną liczbę ok. 100 zasiadających w nim sędziów, co dobrze obrazuje stopień podporządkowania SN władzy.

jej działania w skali całego kraju, Krajową Komisję Koordynacyjną, w skład której weszli dwaj sędziowie – Kazimierz Barczyk⁴⁶ i Adam Strzembosz. Dość szybko sformułowała ona program reformy sądownictwa, zmierzający do uniezależnienia go od partii. Planowano to osiągnąć poprzez wprowadzenie realnych gwarancji niezawisłości sędziowskiej (przede wszystkim – likwidację możliwości usuwania sędziów ze stanowiska w oparciu o przesłankę „utruty rękami należytego wykonywania obowiązków”) oraz przekazanie kompetencji nadzorczych Ministerstwa Sprawiedliwości w ręce rozbudowanego samorządu sędziowskiego, który sprawować miałby całość nadzoru nad sędziami, jak również nad naborem kadr do sądownictwa. Pomysł ten – w ówczesnych realiach nakierowany na osłabienie rządów sprawowanych w modelu totalitarnym – poparty został przez większość adwokatury, środowisko akademickie, a nawet... przez Stronnictwo Demokratyczne.

Znajdująca się w defensywie PZPR próbowała „rozmiękczyć” ten bunt sędziów, zezwalając na powołanie (a nawet początkowo je inicjując) drugiego związku zawodowego w wymiarze sprawiedliwości – autonomicznego NSZZ Pracowników Wymiaru Sprawiedliwości, powszechnie nazywanego związkiem autonomistów. Był on mniej liczny niż branżowa, prawnicza sekcja „Solidarności”⁴⁷, zapisało się do niego jednak zdecydowanie więcej sędziów, bo ponad 1600, czyli ok. 40% ogółu. Zamiast jednak stać się przeciwwagą dla „S”, popierającą linię partii, autonomiści szybko zajęli pozycje reformatorskie. Co więcej, ich postulaty co do niezawisłości i samorządności sędziowskiej nie różniły się znacząco od tych wysuwanych przez „Solidarność”; autonomiści jedynie deklarowali wyraźnie, że nie mają one na celu zanegowania kierowniczej roli PZPR. Przestraszone taką skalą nieposłuszeństwa Ministerstwo Sprawiedliwości w dużej mierze gotowe było zaakceptować w złagodzonej formule żądania obu związków – przyjęcie projektu samorządowej reformy sądownictwa zablokowała dopiero interwencja KC PZPR.

⁴⁶ Sędzia sądu rejonowego w Krakowie. Kraków był najsilniejszym ośrodkiem prawniczej „Solidarności”, do której zapisało się ponad 50% sędziów orzekających w tym mieście.

⁴⁷ Branżowa sekcja związkowa pracowników wymiaru sprawiedliwości NSZZ „Solidarność” liczyła łącznie ok. 10 000 członków, z czego większość jednak stanowili pracownicy administracyjny. Do autonomistów natomiast zapisało się ok. 6000 osób, w tym ponad 1600 sędziów.

ROZDZIAŁ V

ZMIERZCH POSTKOMUNIZMU

„Afera goni aferę. Komisje śledcze rosną w Sejmie jak grzyby po deszczu. Afera Rywina, afera Orlenu, PZU i największa z afer, FOZZ, która może nigdy nie zostanie w pełni wyjaśniona. Miliardy złotych, miliardy dolarów i euro płyną szerokimi strumieniami do lepkich łap aferzystów. Nici afer prowadzą do pałacu prezydenckiego, obejmują kolejnych premierów i ministrów, parlamentarzystów, wysokich urzędników, najbogatszych przedsiębiorców, także banki. Za ich plecami czają się agenci służb specjalnych polskich, rosyjskich i innych krajów, pociągając za sznureczki, szantażując teczkami i kartotekami UB i SB w archiwach IPN-u. Pamiętajmy, że jako pierwszy w archiwach MSW z tajnymi teczkami SB buszował przez kilka miesięcy Adam Michnik. Na tej mętnej wodzie swobodnie żeglują panowie dyskretnego zaufania polityków i biznesmenów: Dochnal, Kuna i Żagiel. A w tle wiecznie żywy, najlepszy agent KGB Ałganow, którego oczkiem w głowie była i jest Polska”.

odezwa prałata Jankowskiego do narodu polskiego,
maj 2005

„Przychodzi Rywin do Michnika, a tam tłok jak cholera, bo wszyscy byli już wcześniej”.

Maciej Rybiński, felietonista

1. Dlaczego Rywin przyszedł do Michnika

Na podstawowe cechy państwa postkomunistycznego składały się przede wszystkim: trwała dominacja partii będącej następcą PZPR nad pozostałymi aktorami politycznymi oraz systemowa nierównowaga w dostępie do zasobów materialnych i niematerialnych w trakcie transformacji gospodarczej, preferująca środowiska byłej nomenklatury. Ze zjawiskami tymi współwystępowała oligarchizacja gospodarki, opartej na mechani-

zmach kapitalizmu politycznego oraz wielowymiarowa słabość państwa, zwłaszcza w obszarze bezpieczeństwa wewnętrznego i wymiaru sprawiedliwości.

Za symboliczny punkt zwrotny, od którego rozpoczyna się zauważalne zanikanie dwóch pierwszych z tych zjawisk – a wraz z nimi stopniowe słabnięcie pozostałych – uważa się powszechnie aferę Rywina¹. W ciągu zaledwie dwóch i pół roku partia postkomunistyczna stoczyła się z pozycji najsilniejszego gracza do roli politycznego pariasa, wegetującego w kolejnych kadencjach na marginesie parlamentu w kilkudziesięcioosobowym klubie i pozbawionego wpływu na cokolwiek. Szybkość tego upadku nie wynikała jednak z samego ujawnienia propozycji złożonej przez Lwa Rywina Wandzie Rapaczyńskiej (a następnie powtórzonej Adamowi Michnikowi, który ją nagrał i ujawnił). Nie była też skutkiem wyłącznie utraty wiarygodności, jakiej doświadczyli czołowi przedstawiciele sceny politycznej, których niejawne interesy stały się przedmiotem publicznych dociekań, i z których – na oczach milionów widzów oglądających transmisje z posiedzeń komisji śledczej – nie potrafili się oni przekonująco wytłumaczyć.

Upadek SLD był przede wszystkim wynikiem procesów oddziałujących na postkomunizm już od dłuższego czasu i konsekwentnie erodujących jego gospodarcze podstawy. W tym kontekście znamienne jest, że Lew Rywin zażądał łapówki w astronomicznej wysokości 17,5 miliona dolarów nie dla siebie, lecz dla partii Leszka Millera. Wybory 2001 r. były ostatnimi, w których partie polityczne korzystać mogły z prywatnego

¹ Wybuchła ona na skutek ujawnienia, że Lew Rywin znany producent filmowy (jego firma Heritage Films brała m.in. udział w produkcji *Listy Schindlera* Spielberga, *Pana Tadeusza* Wajdy czy *Pianisty* Polańskiego) złożył Wandzie Rapaczyńskiej, prezesce zarządu Agora S.A., wydawcy „Gazety Wyborczej” (należącej do kręgu najbogatszych ludzi w Polsce, umieszczonej przez amerykański magazyn „Fortune” w grupie 50 najbardziej wpływowych kobiet biznesu na świecie) propozycję korupcyjną. Miała ona obejmować zaniechanie krytyki rządu Millera przez „Gazetę Wyborczą” i wpłatę 17,5 miliona dolarów w zamian za umożliwienie Agorze przejęcia prywatnej telewizji Polsat poprzez odpowiednią modyfikację przepisów ustawy o radiofonii i telewizji, zabraniających dotąd jednocześnie posiadania ogólnopolskiego dziennika oraz stacji telewizyjnej. W rozmowie Lew Rywin twierdził, że składa propozycję w imieniu premiera, czego późniejsze dochodzenia nie potwierdziły w sposób jednoznaczny i ostatecznie jedyną osobą skazaną za próbę wręczenia łapówki pozostał Rywin.

finansowania² – rozwiązania statuującego jedną z systemowych przewag formacji postkomunistycznych. Przez całe lata 90-te partie polityczne finansowały swoją działalność same: z dochodów z majątku, z działalności gospodarczej oraz z **anonimowych** wpłat od darczyńców³. Ponad połowa tych ostatnich pochodziła od ofiarodawców nie indywidualnych, lecz instytucjonalnych, wpłacających znaczące kwoty. W oczywisty sposób zasady te premiowały formacje posiadające majątek oraz silne zaplecze biznesowe, czyli przede wszystkim Sojusz Lewicy Demokratycznej⁴. Zaplecze to stopniowo jednak słabło, co wynikało z kryzysu, w jakim znalazł się u progu XXI wieku powstały w trakcie transformacji model kapitalizmu politycznego.

Kryzys ten wynikał z dwóch głównych przyczyn: po pierwsze, z rosnącej presji konkurencyjnej na przedsiębiorstwa nomenklaturowe, po drugie – z kurczącej się ilości zasobów dostępnych dla graczy w ramach nieformalnych powiązań i „układów”, co wywoływało coraz ostrzejszą rywalizację pomiędzy nimi. Zjawiska te czyniły niesłychanie trudnym utrzymywanie równowagi w złożonym systemie relacji pomiędzy biznesem a polityką, jaki powstał w latach 90-tych; afera Rywina ostatecznie ją zburzyła i uruchomiła procesy, których żaden z graczy nie był już w stanie kontrolować.

Podczas transformacji polska gospodarka konsekwentnie otwierała się na kapitał zachodni. Przychody z prywatyzacji stanowiły ważne źródło dochodów budżetu państwa dla wszystkich kolejnych rządów, służąc przede wszystkim jako uzupełnienie niewydolnego systemu ubezpieczeń społecznych, środki z którego nie wystarczały na wypłatę emerytur i rent. Zjawisko to osiągnęło swoje apogeum tuż przed objęciem władzy przez

² Były to zarazem wybory, w których Sojusz odniósł miażdżące zwycięstwo, uzyskując ponad 5 milionów głosów, stanowiących 41,04% całości i nie zdobył samodzielnej większości w Sejmie tylko dzięki dokonanej w ostatniej chwili przez AWS-owską większość zmianie ordynacji wyborczej, wprowadzającej podział mandatów metodą Sainte-Laguë zamiast d'Hondta.

³ Miały one postać tzw. cegiełek.

⁴ PSL, słabo osadzone w środowiskach nomenklaturowego biznesu, dysponowało znacznym potencjałem finansowym dzięki majątkowi przejętemu po swoim komunistycznym poprzedniku, ZSL, który to majątek – w przeciwieństwie do SLD – partii chłopskiej udało się zachować w całości. Źródłem dochodów PSL był przede wszystkim wynajem nieruchomości.

partię Leszka Millera⁵. Równolegle następował napływ kapitału zagranicznego w postaci inwestycji bezpośrednich: osiągnęły one w 2001 roku skumulowany poziom ponad 42 miliardów dolarów, co stanowiło ok. 20% łącznego PKB.

Rosnąca liczba spółek z kapitałem zachodnim wywierała ciągłą presję na biznes nomenklaturowy, prowadząc stopniowo do utraty jego przewag konkurencyjnych, wynikających z kapitalizmu politycznego i niejawnych powiązań. Model kulturowy przedsiębiorczości zachodniej był radykalnie inny niż kultura uwłaszczonej nomenklatury: ci pierwsi nastawieni byli na ekspansję i rozwój, ci drudzy natomiast często traktowali przejęte przedsiębiorstwa jako nową odmianę politycznie przydzielonej synekury, marnotrawiąc środki i „przejadając” zasoby. Biznes postkomunistyczny nie dysponował po prostu kapitałem kulturowym, pozwalającym mu skutecznie konkurować z przedsiębiorcami z Zachodu, zarówno w wymiarze organizacji pracy i innowacyjności, jak i w wymiarze wartości: nomenklaturowy właściciel (i management) rzadziej myślał kategoriami długoterminowej pozycji przedsiębiorstwa, częściej postrzegając jego działalność tylko przez pryzmat własnej, krótkoterminowej korzyści. Miał też ogromne kłopoty z efektywnym zarządzaniem.

Dobrze ilustruje to sytuacja, z jaką zetknąłem się, pracując jako prawnik w kancelarii gospodarczej, w okresie krótko po przystąpieniu Polski do UE. Prowadziliśmy – w imieniu firmy należącej do zagranicznego inwestora – proces przeciwko jednemu z dużych polskich przedsiębiorstw z branży stalowej. Wartość przedmiotu sporu była niebagatelna – kilka milionów złotych; niebagatelna była też presja, pod jaką pracował cały skierowany do sprawy zespół. Polski prezes obsługiwanej przez nas spółki-córki niemieckiego koncernu nie ukrywał, że jeżeli przegramy, oznaczać to będzie jego koniec na tym stanowisku (a zarazem koniec kontraktu kancelarii na obsługę prawną). W tym samym czasie drugą stronę reprezentował radca prawny „starej daty” – owszem, kompetentny, ale zatrudniony od wielu lat na etacie u naszego przeciwnika i mający bliskie relacje towarzyskie ze swoim szefostwem (co lubił podkreślać). Ku mojemu zdumieniu, na jednej z kluczowych rozpraw nie pojawił się on w ogóle, przysyłając w zastępstwie zupełnie nieprzygotowanego i nie-

⁵ Koalicja UW-AWS w 2000 r. osiągnęła dochody z prywatyzacji w wysokości 27 mld złotych, przy całkowitych dochodach budżetu państwa wynoszących 135,6 mld, co oznacza, że niemal 20% całkowitych dochodów państwa uzyskanych zostało dzięki prywatyzacji.

zorientowanego w sprawie aplikanta. Kiedy spotkałem go ponownie, non-szalancko wyjaśnił mi, że na rozprawie być nie mógł, ponieważ miał już zarezerwowany wyjazd na narty do Austrii. Przegrana – o ile mi wiadomo – nie miała dla niego żadnych negatywnych konsekwencji. Jest to oczywiście tylko anegdota, sądzę jednak, że dobrze odzwierciedla ona różnicę mentalności obu managementów: struktura zarządzania przyjęta w firmie, przeciwko której występowaliśmy, oparta była na nieformalnych hierarchiach towarzyskich, uniemożliwiających właściwe priorytetyzowanie problemów; od kluczowych pracowników nie oczekiwano jakości i nie wyciągano konsekwencji za zachowania działające na niekorzyść firmy – ze względu właśnie na te nieformalne powiązania towarzyskie.

Rzeczywistość gospodarcza była oczywiście dużo bardziej złożona⁶. Część przedsiębiorców wywodzących się z nomenklatury (lub budujących swoją pozycję w oparciu o powiązania kapitalizmu politycznego) odniosła sukces, a wielu przedsiębiorców „wolnorynkowych” nie potrafiło nauczyć się nowoczesnych metod organizacji pracy, borykając się z problemami podobnymi do opisanych powyżej. Dalece nie wszyscy inwestorzy zachodni grali *fair* – kapitał zagraniczny, zwłaszcza w pierwszej dekadzie III RP, często traktował Polskę jak kraj Trzeciego Świata, nie wahając się korumpować urzędników czy ignorować przepisów prawa.

Pomimo to sądzę, że uprawnione jest uogólnienie, iż biznes nomenklaturowy w dekadzie 1990-2000 stopniowo tracił na znaczeniu i ustępował pola z jednej strony kapitałowi zagranicznemu, z drugiej zaś – przedsiębiorcom „wolnorynkowym”, tym, którzy swoje biznesy zaczęli

⁶ Krzysztof Jasiecki, autor kompleksowego opracowania na temat elit gospodarczych ukształtowanych w procesie polskiej transformacji, wymienia trzy zasadnicze „ścieżki wejścia” do świata biznesu w latach 90-tych: nomenklaturową (opartą na przejęciu zasobów materialnych – uwłaszczeniu; bądź na zamianie kapitału kulturowego, czyli kontaktów, powiązań i wiedzy – na ekonomiczny; ścieżkę *self-made-men*, czyli przedsiębiorców określanych przeze mnie jako „wolnorynkowi”; oraz ścieżkę biurokratyczno-menedżerską: „obejmowanie funkcji protokapitalistycznych z nominacji państwowej” (czyli stanowisk kierowniczych przede wszystkim w państwowych, ale później – dzięki nawiązanym kontaktom – również w prywatnych podmiotach gospodarczych). Jak wskazuje Jasiecki, przedstawiciele tak pierwszej, jak i drugiej ścieżki nie stronili od korzystania z mechanizmów kapitalizmu politycznego, jednakże możliwości przedsiębiorców nomenklaturowych były w tym zakresie nieporównywalnie większe.

rozwijać po roku 1990, startując od zera⁷. Obie te grupy łączył wspólny interes, odmienny od interesu przedsiębiorców nomenklaturowych: w znacznie większym stopniu niż ludzie wywodzący się z nomenklatury byli oni gotowi poprzeć model gospodarczy oparty na uczciwych i jednakowych dla wszystkich regułach gry. Inwestorzy zagraniczni, choć

⁷ Świadczą o tym pośrednio spektakularne upadki karier zbudowanych na przejętym majątku bądź niejawnych powiązaniach, z których trzy wydają się szczególnie charakterystyczne:

Aleksander Gawronik, aktywista PZPR i etatowy pracownik SB, prowadzący prywatną działalność gospodarczą już w latach 80-tych, w marcu 1989 r. stał się milionerem, kiedy tuż po uwolnieniu wymiany walut przez rząd Mieczysława Rakowskiego otworzył z dnia na dzień sieć kantorów na granicy polsko-niemieckiej. W latach 1990-1994 regularnie wymieniany na liście 100 najbogatszych Polaków tygodnika „Wprost” (w 1990 r. – na pierwszym miejscu), aresztowany w 2001 r. i skazany w 2004 r. na karę 8 lat pozbawienia wolności; w 2015 r. oskarżony o podżeganie do zabójstwa dziennikarza Jarosława Ziętary, badającego we wczesnych latach 90-tych afery gospodarcze (z tego zarzutu został prawomocnie uniewinniony w 2022 r.).

Aleksander Gudzowaty, były dyrektor centrali handlu zagranicznego Kolmex, założyciel Bartimpexu, będącego w latach 90-tych kluczową spółką w pośrednictwie w handlu zagranicznym z Federacją Rosyjską i jednym z najważniejszych graczy w handlu rosyjskim gazem w Polsce. Dzięki odpowiednio skonstruowanym umowom (i poparciu Rosjan) spółki zależne od Bartimpexu uzyskały pozycję „obligatoryjnego pośrednika” w dostawach od Gazpromu, któremu państwowy importer – PGNiG – płacił wysokie prowizje od zawartych umów. Mechanizm ten przestał funkcjonować w 2001 r., kiedy – na skutek zmian w kierownictwie Gazpromu i działań polskich władz – Bartimpex został wyeliminowany z pośrednictwa, co doprowadziło do upadku imperium gospodarczego Gudzowatego.

Kazimierz Grabek, nazywany „królem żelatyny”, już w latach 80-tych zajmował się produkcją kleju i mąki kostnej, korzystając z nadzwyczajnej przychylności urzędników, dzięki którym nie tyle uzyskiwał wymagane pozwolenia, co prowadził działalność... nie posiadając tych zezwoleń w ogóle. Na początku lat 90-tych otrzymał w krótkim czasie dostęp do kredytów, wynoszących – jak obliczyli dziennikarze tygodnika „Polityka” – równowartość ponad 60 mln dzisiejszych złotych (których w większości nie spłacił). Z ich pomocą błyskawicznie zbudował praktyczny monopol na rynku produkcji żelatyny w Polsce, w dużej mierze dzięki korzystnym regulacjom prawnym, eliminującym konkurencję. W grudniu 1997 r. rząd Jerzego Buzka przyjął rozporządzenie o całkowitym zakazie importu żelatyny; ujawnienie tego faktu doprowadziło do wybuchu „afery żelatynowej”, w wyniku której imperium Grabka upadło, a on sam stanął ostatecznie przed sądem pod zarzutem wyłudzeń.

korzystali niekiedy z przewag niejawnych, to nie byli od nich jednak egzystencjalnie uzależnieni. Przyzwyczajeni do wolnej konkurencji, nie obawiali się jej, ponadto zaś potrafili – w razie potrzeby – „nagiąć” reguły na swoją korzyść w sposób oficjalny (np. poprzez regulacje szczególne, takie jak specjalne strefy ekonomiczne⁸). Przedsiębiorcy „wolnorynkowi” zaś, którzy uzyskali swoją pozycję dzięki brutalnej nierzadko konkurencji, wierzyli, że realna równość wobec prawa zadziała na ich korzyść. Wydaje się, że również część twórców biznesów wyrosłych na mechanizmach kapitalizmu politycznego zdała sobie u progu XXI wieku sprawę, że działania oparte wyłącznie na „podwieszeniach” i „układach” nie dają szans na długoterminowe przetrwanie i są tak naprawdę dużo bardziej wrażliwe niż przedsięwzięcia oparte na solidnym udziale w rynku (doświadczenia Aleksandra Gudzowatego i Kazimierza Grabka – których imperia runęły niemal z dnia na dzień po likwidacji politycznych powiązań, stanowiących ich podstawę – były tu z pewnością cenną lekcją)⁹.

2. Buldogi na dywanie: kryzys kapitalizmu politycznego

Rosnącej presji konkurencyjnej, wywieranej na biznes nomenklatury przez przedsiębiorców „wolnorynkowych” i kapitał zagraniczny, towarzyszyło skurczenie się pola gry, na którym odbywała się rywalizacja o dostęp do zasobów niejawnych. Po pierwszym okresie transformacji, w którym stosunkowo niewielki kapitał kulturowy w postaci kilku niebyt wysokiej rangi kontaktów dawał się łatwo zamienić na sukces ekonomiczny, w po-

⁸ Specjalne strefy ekonomiczne stanowiły wyodrębnione obszary, w których inwestorzy prowadzić mogli działalność na preferencyjnych warunkach, korzystając przede wszystkim z daleko idących zwolnień podatkowych.

⁹ Należy też wziąć pod uwagę to, że napływ kapitału zagranicznego nie polegał wyłącznie na tworzeniu nowych podmiotów gospodarczych, kontrolowanych w 100% przez inwestorów zachodnich. Przez całe lata 90-te spółki polskie poszukiwały finansowania poprzez sprzedaż swoich udziałów i akcji przedsiębiorstwom zagranicznym, które często stawały się nie udziałowcem dominującym, lecz „zaledwie” współwłaścicielem polskiej (początkowo) spółki, pozostającym w równowadze z dotychczasowymi udziałowcami. Proces ten dotyczył większości przedsiębiorstw, a zaangażowanie kapitału inwestorów zagranicznych nieustannie w nich wzrastało (choć w różnym stopniu w poszczególnych branżach), co, jak sądzę, przyczyniało się do dyfuzji wzorców zachodniej kultury menedżerskiej i wzrostu presji na uporządkowanie reguł biznesowej gry w duchu ordoliberalizmu.

łowie lat 90-tych przyszedł czas pewnej stabilizacji. Pod koniec drugiej kadencji Sejmu dominująca w nim partia postkomunistyczna uchwaliła ustawę o komercjalizacji i prywatyzacji przedsiębiorstw państwowych. Stała się ona wygodnym narzędziem do nadania procesom kapitalizmu politycznego pewnej sterowności, *de iure* formalizowała bowiem władzę Skarbu Państwa nad państwowymi przedsiębiorstwami, pozwalając im jednocześnie nadawać dogodną dla prywatyzacji formę spółki handlowej i narzucać jednolite ramy dla tego procesu. Z początkowego chaosu zaczął wyłaniać się model relacji klienckich pomiędzy biznesem a polityką, w którym ten pierwszy dostarczał funduszy poszczególnym graczom, w zamian za przychylność okazywaną przez państwo i jego administrację. Model ten był jednak słabo zinstytucjonalizowany i opierał się przede wszystkim na relacjach interpersonalnych, często wywodzących się jeszcze z dawnego systemu. Wymiana przysług nie była zoptymalizowana, a pomiędzy patronami poszczególnych graczy – jak i samymi graczami – często dochodziło do kolizji interesów. Dopóki ilość zasobów – mających postać majątku możliwego do przejęcia, renty pobieranej przez wybranych w procesie prywatyzacji tytułem pośrednictwa¹⁰ lub po prostu możliwości szybkiego zajęcia dogodnej niszy rynkowej – pozostawała znaczna, kolizje te udawało się rozwiązywać. Jednak postępy prywatyzacji i presja konkurencyjna ograniczyły te zasoby, przez co rywalizacja o nie zaczęła stawać się coraz brutalniejsza. Charakterystycznym tego przykładem jest przywoływana już sprawa firmy Romana Kluski – Optimus S.A.,

¹⁰ Najbardziej znanym przykładem „wmontowania” gigantycznej prowizji za pośrednictwo w proces prywatyzacyjny jest sprzedaż akcji Telekomunikacji Polskiej S.A. na rzecz France Telecom. Aby oddalić od siebie zarzut sprzedania w całości narodowego operatora telekomunikacyjnego w ręce kapitału zagranicznego, rząd Jerzego Buzka postawił wymóg, że sprzedaż może nastąpić wyłącznie na rzecz konsorcjum z udziałem polskiego kapitału. Konsorcjum takie France Telecom zawiązało z udziałem Jana Kulczyka, który następnie – po pewnym czasie – odsprzedał swoje udziały Francuzom, nie ponosząc z tego tytułu żadnych negatywnych konsekwencji i osiągając zysk ok. 40 mln euro (do czego doliczyć jeszcze trzeba pobrane w międzyczasie kilkadziesiąt milionów złotych dywidendy). W ten sposób monopol państwa polskiego na rynku telekomunikacyjnym zamieniony został na monopol państwa francuskiego (France Telecom było firmą państwową), Skarb Państwa zarobił mniej na prywatyzacji, zaś ceny Internetu w Polsce (który zaczął nabierać znaczenia wkrótce potem i był przez długi czas dostarczany wyłącznie przez TP S.A.) przez długi czas należały do najwyższych w Europie.

zniszczonej w 2002 r. przez decyzje organów podatkowych, nakazujące jej odprowadzić podatek, z którym rzekomo zalegała. Jawnie nierzetelny – a zarazem skoordynowany – sposób działania organów państwa w tej sprawie pozwala z dużym prawdopodobieństwem założyć, że była ona przejawem ich sprywatyzowania przez graczy zainteresowanych eliminacją konkurencji.

Niejasne biznesowe tło miała również sprawa porwania w 2001 r. Krzysztofa Olewnika, syna plockiego przedsiębiorcy. Nigdy nie została ona wyjaśniona, gdyż wszyscy podejrzani zmarli bądź popełnili samobójstwa w tajemniczych okolicznościach. Z zebranego materiału dowodowego wyłania się jednak obraz lokalnego „układu”, z bardzo mocnymi poszlakami świadczącymi o współpracy Policji z grupami przestępczymi, a część badających sprawę dziennikarzy stawiała hipotezę, że celem porwania było w rzeczywistości przejęcie biznesu Olewnika-seniora, ojca Krzysztofa.

Przykład znacznie głębszego uwikłania ludzi ze szczytów władzy stanowią konflikty związane z podziałem stref wpływów w polskim sektorze energetycznym, ujawnione w toku prac komisji śledczej, tzw. orlenowskiej, drugiej powołanej przez Sejm IV kadencji¹¹ (równie ważnej, choć mniej medialnej niż komisja powołana do wyjaśnienia afery Rywina). W dominującej wśród dziennikarzy śledczych i komentatorów interpretacji¹², przeprowadzone 7 lutego 2002 r. spektakularne zatrzymanie przez UOP prezesa PKN „Orlen” Andrzeja Modrzejewskiego służyć miało usunięciu go z funkcji (co faktycznie nastąpiło), tak aby zarząd, a następnie rada nadzorcza koncernu paliwowego z dominującym udziałem Skarbu Państwa mogły zostać obsadzone ludźmi wskazanymi przez Jana Kulczyka, w tym czasie najbogatszego człowieka w Polsce. Było to konieczne, aby umożliwić zrealizowanie transakcji, której istotnym współuczestnikiem miał być Kulczyk, a której patronowała część postkomunistycznej lewicy z prezydentem Aleksandrem Kwaśniewskim

¹¹ Komisja, której pełna nazwa brzmiała „komisja śledcza do zbadania zarzutów i nieprawidłowości w nadzorze Ministerstwa Skarbu Państwa nad przedstawicielami skarbu państwa w spółce PKN Orlen oraz zarzutów wykorzystania służb specjalnych dawnego UOP do nielegalnych nacisków na organ wymiaru sprawiedliwości w celu uzyskania postanowień służących do wywierania presji na członków zarządu PKN Orlen”, powołana została 28 maja 2004 r.

¹² Przedstawionej w najbardziej spójny i kompleksowy sposób w książce Roberta Krasowskiego *Czas gniewu*.

na czele: „przejęty” przez nich „Orlen” miał nabyć od Skarbu Państwa Rafinerię Gdańską (drugą największą polską firmę paliwową), a następnie – odsprzedać ją Rosjanom. Sprzedaż ta miała być zrealizowana za pośrednictwem „Orlenu” (i firm Kulczyka, który posiadał niewielki pakiet akcji w tym koncernie) po to, aby nie narazić rządu SLD na zarzut wyprzedazy strategicznego sektora wschodniemu sąsiadowi. „Orlen” jednak nie był kontrolowany w pełni przez Skarb Państwa (który posiadał w nim tylko 30% udziałów), stąd – wobec odmowy ustąpienia przez Modrzejewskiego (będącego przeciwnikiem całej transakcji), mimo wywieranych na niego nacisków – konieczne stało się usunięcie go sposób siłowy. Wykorzystano do tego Urząd Ochrony Państwa, który – na polecenie polityków – zatrzymał prezesa największej spółki paliwowej pod sfingowanym zarzutem, dokonując tego tuż przed posiedzeniem rady nadzorczej spółki, mającej rozpatrywać wniosek o jego odwołanie¹³. Zabiegi polityków SLD wokół reorganizacji sektora paliwowego w Polsce nie zostały nigdy w pełni wyjaśnione, jednak z ustaleń komisji śledczej wyłania się obraz głębokiego konfliktu w obozie władzy, w którym po jednej stronie znajduje się wspierający Kulczyka prezydent, po drugiej – minister Skarbu Państwa Wiesław Kaczmarek, premier zaś próbuje pełnić pomiędzy nimi funkcję ni to rozgrywającego, ni to mediatora. Co jednak uderzające – żaden z nich nie sprawia wrażenia działającego w interesie jakkolwiek rozumianego państwa, gra, którą toczą, wydaje się dotyczyć jedynie mechanizmu podziału łupów¹⁴. Mniej istotny, lecz charakterystyczny dla funkcjonowa-

¹³ Modrzejewskiego zatrzymano pod zarzutem ujawnienia w 1998 r. ówczesnemu szefowi PZU Życie Grzegorzowi Wieczerzakowi poufnej informacji, z czego został prawomocnie oczyszczony w 2006 r. Za wydanie bezpodstawnego polecenia zatrzymania Modrzejewskiego skazani zostali Ryszard Bieszyński, ówczesny szef zarządu śledczego UOP (w 2012 r.) oraz Zbigniew Siemiątkowski, ówczesny szef Urzędu Ochrony Państwa (w 2013 r.), a wcześniej minister spraw wewnętrznych.

¹⁴ Szczególnie niepokojące (i bulwersujące opinię publiczną) było ujawnienie, że w rozgrywkach tych niejasną, acz istotną rolę – jak się wydaje pośrednika pomiędzy zainteresowanym zakupem Rafinerii rosyjskim Łukoilem a polskimi politykami – pełnił Władimir Ałganow, były dyplomata i rezydent KGB w Polsce, w kontakty z którym uwikłany był Józef Oleksy (co legło u podstaw wybuchu tzw. afery Olina w 1995 r.) oraz – w jakimś stopniu – Aleksander Kwaśniewski (co doprowadziło do upadku dziennika „Życie”). Z Ałganowem spotykał się Jan Kulczyk w 2003 r. i – jak wynika z odtajnionej notatki Agencji Wywiadu – zapewniał go, że jest w stanie doprowadzić do sprzedaży Rafinerii Gdańskiej dzięki poparciu

nia postkomunistycznego państwa wątek tzw. afery Orlenu stanowi też ujawnienie roli odgrywanej przez cypryjską spółkę J&S, założoną przez dwóch Ukraińców z polskim obywatelstwem: J&S wydaje się stanowić typowy przykład „dodatkowego” pośrednika, za pomocą którego polskie spółki z udziałem skarbu państwa nabywały surowce od rosyjskich producentów. Z niewyjaśnionych powodów z pośrednictwa tego nie dało się (przynajmniej do pewnego momentu) zrezygnować, co podnosiło znacząco (według doniesień prasowych – o 5% do 10%) koszty importu, jednocześnie zaś rola pośrednika ograniczała się do tego, że „na papierze” surowiec ten przez chwilę stanowił jego własność¹⁵.

W kontekście funkcjonowania niespójnych sieci polityczno-biznesowo-towarzyskich późnej fazy państwa postkomunistycznego – a zwłasz-

prezydenta Polski. Kulczyk z kolei oskarżał ministra Kaczmarka o przyjęcie od Ałganowa łapówki w wysokości 5 milionów dolarów.

¹⁵ J&S założona została przez Grzegorza (Grigorija) Jankilewicza i Sławomira (Wiaczesława) Smołokowskiego, dwóch muzyków ukraińskiego pochodzenia, którzy na przełomie lat 80-tych i 90-tych uzyskali polskie obywatelstwo. Mimo niewielkiego doświadczenia w biznesie (wcześniej zajmowali się przez krótki czas handlem elektroniką), szybko odnieśli sukces na rynku paliwowym, zaopatrując polskie rafinerie w ropę (w najlepszym okresie dostarczali do 70% surowca przerabianego przez „Orlen”). Co prawda pojawienie się takich form pośrednictwa pomiędzy rynkiem rosyjskim a rynkiem polskim w latach 90-tych można uznać do pewnego stopnia za naturalną konsekwencję rozpadu dotychczasowych relacji handlowych pomiędzy państwowymi przedsiębiorstwami z PRL i ZSRR; z drugiej jednak strony – błyskawiczne tempo, w jakim postawały fortuny, oparte na pośrednictwie tego rodzaju, brak uzasadnienia ekonomicznego dla nich i trudności z ich wyeliminowaniem wskazują na istnienie dodatkowych, niejawnych mechanizmów, wspomagających ich funkcjonowanie. Niektórzy dziennikarze stawiali wprost tezę, że tego rodzaju zbędne – z ekonomicznego punktu widzenia – przedsiębiorstwa, „wmontowane” w łańcuchy dostaw, stanowiły przykrywkę dla byłych i aktualnych funkcjonariuszy służb specjalnych (polskich i/lub rosyjskich), których członkowie byli rzeczywistymi organizatorami i beneficjentami realizowanych z ich pomocą operacji gospodarczych.

Nota bene, żona jednego z założycieli J&S, Jankilewicza, była wydawcą popularnego miesięcznika dla kobiet „Zwierciadło” (wydawanego od 1957 r. i sprywatyzowanego w ramach likwidacji RSW „Prasa-Książka-Ruch”, opisywanej w rozdziale IV); „Zwierciadło” było jednym z czasopism segmentu prasy kolorowej, w których Aleksander Kwaśniewski i jego żona mogli liczyć na ocieplające ich wizerunek relacje i wywiady; Magdalena Jankilewicz wpłaciła też 25 tys. dol. na fundację Jolanty Kwaśniewskiej „Porozumienie bez barier”.

cza w kontekście niejednoznacznej roli odgrywanej przez Leszka Millera zarówno w aferze Rywina, jak i w aferze „Orlenu” – szczególnie interesująca jest teza sformułowana przez Ludwika Dorna¹⁶. Zdaniem tego polityka po objęciu urzędu premiera Miller podjął próbę racjonalizacji systemu i zinstytucjonalizowania władzy partii postkomunistycznej. Służyć temu miała przebudowa jej struktury, obliczona na scentralizowanie jej dotychczasowego, sieciowego charakteru, jak również wzmocnienie aparatu państwa i podporządkowanie go zreformowanej partii. Dorn interpretuje sprawy Romana Kluski i Krzysztofa Olewnika nie jako przejawy rywalizacji pomiędzy graczami kryminalno-biznesowymi, prywatyzującymi aparat państwa do własnych celów, lecz jako przejawy rywalizacji pomiędzy graczami biznesowymi a aparatem partii, którego fragmenty uzyskały autonomię wobec pozostałych elementów systemu i wykorzystywały fragmenty struktury państwowej do „polityczno-państwowego reketu”¹⁷. Działania Millera miały być więc nakierowane – zdaniem Dorna – na wyeliminowanie tego typu patologii, nie w imię uzdrowienia państwa, lecz w imię poszerzenia władzy szefa partii, kontrolującej hierarchicznie uporządkowane zależności pomiędzy biznesem a polityką. Na takie intencje premiera wskazywać też może przeprowadzona przez niego na początku kadencji duża reforma służb specjalnych, w wyniku której w 2002 r. rozwiązano UOP i powołano dwie nowe instytucje: Agencję Wywiadu i Agencję Bezpieczeństwa Wewnętrznego¹⁸; teza Dorna dobrze tłumaczyłaby również kumulację napięć, jakie następują w systemie politycznym na przełomie lat 2002 i 2003: gracze biznesowi rywalizowaliby

¹⁶ W wywiadzie-rzece z Robertem Krasowskim, wydanym pod tytułem *Anatomia słabości*.

¹⁷ Kryminalizacja części aparatu SLD, o której mówi Dorn, niewątpliwie była faktem, czego dowodzi tzw. afera starachowicka: w marcu 2003 r. poseł SLD Andrzej Jagiełło ostrzegł radnych SLD w Starachowicach przed ich planowanymi aresztowaniami, powołując się przy tym na informacje otrzymane od wiceministra spraw wewnętrznych, Zbigniewa Sobotki. Sprawa była bulwersująca nie tylko ze względu na ujawnione w jej toku bliskie kontakty starachowickich radnych z półświatkiem, ale przede wszystkim dlatego, że ujawniając planowaną akcję, wiceminister spraw wewnętrznych naraził potencjalnie nawet życie biorących w niej udział oficerów Policji. Zarówno Jagiełło, jak i Sobotka zostali prawomocnie skazani, przy czym tego ostatniego Aleksander Kwaśniewski ułaskawił na kilka tygodni przed końcem swojej kadencji.

¹⁸ Antoni Dudek widzi w tym jednakże przede wszystkim środek do „odzyskania” służb przez środowiska postkomunistyczne.

– według niej – o coraz bardziej ograniczone zasoby nie tylko z wolnorynkowym i zachodnim biznesem, ale również z częściowo skryminalizowanym aparatem partyjnym, a z nimi wszystkimi – część służb i aparatu lojalna wobec Millera, który intensyfikował w tym czasie swoje wysiłki na rzecz zapanowania nad całością.

W oparciu o – siłą rzeczy – szczątkowe i wrywkowe informacje, pojawiające się w toku śledztw dziennikarskich i ustaleń komisji śledczych, trudno jest stworzyć jednoznaczny i pełny obraz uwikłań graczy biznesowych i politycznych „epoki SLD”. Nie ulega jednak wątpliwości, że uwikłania takie istniały i miały szeroki zasięg, jak również – że u progu XXI wieku napięcia w ich obrębie doprowadziły do otwartej walki, stanowiącej przejaw kryzysu kapitalizmu politycznego. Rywalizacja ta przenikała do mediów w stopniu znacznie większym niż wcześniej, pozwalając odsłonić kulisy polityki opartej na relacjach klienckich i kompromitując je w oczach wyborców. Niebagatelny wpływ na to miał rozwój samego rynku medialnego, który stawał się w tym okresie bardziej dynamiczny i konkurencyjny, niż miało to miejsce na wcześniejszym etapie transformacji.

3. Koniec świata Redaktora

Na przełomie XX i XXI wieku, polska scena medialna uległa – w porównaniu do lat 90-tych – znaczącym przekształceniom. Telewizja publiczna zaczęła stopniowo tracić monopol na programy informacyjne w związku z rosnącym znaczeniem TVN. Stacja ta od jesieni 1997 r. rozpoczęła emisję własnego programu podsumowującego wydarzenia dnia („Fakty”); konkurował on z dotychczasowym monopolistą – „Wiadomościami”, emitowanymi przez TVP (jako kontynuacja komunistycznego jeszcze „Dziennika Telewizyjnego”) codziennie o 19:30. W 2004 r. wieczorny program informacyjny zaczął emitować także Polsat („Wydarzenia”). Na rynku gazet codziennych pojawił się (od 2003 r.) „Fakt”, tabloid wzorowany na niemieckim „Bildzie”, który bardzo szybko stał się liderem prasy codziennej, ze sprzedażą ponad pół miliona egzemplarzy dziennie („Gazeta Wyborcza” w tym okresie osiągała wyniki o kilkadziesiąt tysięcy niższe, zaś „Rzeczpospolita” i „Super Express” oscylowały wokół liczby 200 000 sprzedanych egzemplarzy dziennie). Rynek zarówno prasowy, jak i telewizyjny stał się nieco bardziej pluralistyczny, nie tylko pod względem liczby tytułów, lecz również zniuansowania przekazu. Wiązało się to w dużej mierze z mocnym wejściem na polski rynek niemieckiego

W tej sytuacji najważniejszą postacią w obu rządach Donalda Tuska stał się Jan Vincent Rostowski, pełniący funkcję ministra finansów nieprzerwanie od listopada 2007 do listopada 2013 r. Dysponował on niemal bezwarunkowym poparciem premiera tak długo, jak długo potrafił utrzymać w ryzach budżetowy deficyt i zapobiec katastrofie – tym bardziej, że nie będąc w żaden sposób związany z Platformą, nie budował w niej frakcji i nie stanowił zagrożenia dla swojego szefa. Ten syn polskich emigrantów (z podwójnym obywatelstwem: polskim i brytyjskim), absolwent prestiżowej London School of Economics i były doradca Leszka Balcerowicza w kluczowych latach 1989-1991, jest autorem często dziś przypominanej, zwięzłej wypowiedzi z 2015 r.: „Pieniądzy nie ma i nie będzie”. Co prawda padła ona w końcówce kampanii wyborczej i dotyczyła składanych w niej obietnic socjalnych Prawa i Sprawiedliwości, jednak dość często przytacza się ją dla zobrazowania polityki fiskalnej Rostowskiego w latach 2007-2013. Cechowało ją bowiem właśnie dążenie do utrzymania rygorystycznej dyscypliny budżetowej, realizowanej przede wszystkim kosztem jakości usług publicznych i wysokości świadczeń socjalnych. Nie ulega wątpliwości, że sytuacja gospodarcza Polski w okresie rządów Platformy była rzeczywiście trudna i w jakimś sensie Donald Tusk miał pod tym względem po prostu pecha. Z drugiej jednak strony – polityka fiskalna obu jego rządów zdeterminowana była nie tylko przez realne skutki kryzysu finansowego 2008 r., ale również przez reakcję na nie, jaka dominowała w tym okresie w światowych elitach, zwłaszcza europejskich elitach politycznych. Według absolutnej większości ich przedstawicieli receptą na przezwyciężenie kryzysu miała być bowiem polityka *austerity*, czyli surowych wyrzeczeń. Tego żądano od „winowajców” za których uznano tzw. kraje PIGS⁸, a wśród nich przede wszystkim Grecję.

Wywołana przez amerykański kryzys bankowy światowa recesja boleśnie uderzyła w Europę. Najmocniej odczuły ją kraje najbardziej zadłużone, do których należały właśnie cztery państwa śródziemnomorskie. Przyczyn tego stanu rzeczy doszukiwano się przede wszystkim w nieostrożnej polityce finansowej, a zwłaszcza w chaotycznym zadłużaniu budżetów Grecji, Hiszpanii, Włoch i Portugalii, połączonym z rozbudowanymi systemami świadczeń socjalnych. Było w tym sporo racji (zwłaszcza w przypadku Grecji), jednak politycy i eurokraci wydawali się ignorować dwie co najmniej równie ważne, strukturalne przyczyny sytuacji, w jakiej

⁸ Akronim utworzony od pierwszych liter angielskich nazw Portugalii, Włoch, Grecji i Hiszpanii (Portugal, Italy, Greece, Spain)

znalazły się kraje Południa. Ich przystąpienie do strefy euro oznaczało nagłe uzyskanie dostępu do bardzo tanich możliwości kredytowania, przede wszystkim ze względu na niskie stopy procentowe, ustalane przez Europejski Bank Centralny, trudno się więc dziwić, że zadłużały się one na potęgę⁹. Jednocześnie – rozszerzenie Unii na Wschód stopniowo przekierowywało napływ inwestycji do nowych krajów członkowskich, zmniejszając konkurencyjność gospodarek śródziemnomorskich i dodatkowo je osłabiając. Jednak przyznanie, że któryś z tych dwóch czynników mógł przyczynić się do niewydolności ekonomicznej krajów PIGS, nie bardzo wchodziło w grę dla Brukseli. Oznaczałoby to bowiem, że dwa najważniejsze projekty unijne ostatnich lat, czyli euro i rozszerzenie, nie były sukcesami, na których korzystali wszyscy; gorzej – w przypadku euro poddawałoby w wątpliwość, czy w ogóle było ono sukcesem. Wybrano więc drogę wyrzeczeń, narzucając krajom PIGS konieczność drastycznej redukcji wydatków, w przypadku Grecji – praktycznie oddając jej politykę fiskalną w ręce EBC.

Oceniając politykę fiskalną rządów Tuska, pamiętać więc trzeba, że wpływ na nią miały nie tylko przedstawione wyżej rzeczywiste, niekorzystne uwarunkowania gospodarcze i dominujący w Platformie liberalny paradygmat ekonomii transformacyjnej, w którym ograniczanie deficytu i niedopuszczenie do inflacji stanowiły wartości bezwzględnie nadrzędne. W równym – a może nawet większym stopniu – kształtowała ją też obawa przed podzieleniem losu krajów Południa Europy – popadnięciem w spiralę kryzysu, na końcu którego czekać może radykalne podporządkowanie unijnym instytucjom finansowym. Czy obawa ta była w latach 2008-2013 realna – trudno wyrokować. Jednak Rostowski był też gorącym zwolennikiem jak najszybszego wejścia do strefy euro¹⁰. Na jego

⁹ Część ekonomistów wskazuje, że kraje PIGS, pomimo że spełniały formalne kryteria konwergencji, wymagane przez traktat z Maastricht (choć w przypadku Grecji nastąpiło to w rezultacie manipulacji wskaźnikami), to jednak nie osiągnęły konwergencji realnej, zaś unia walutowa UE od swojego powstania nie stanowiła optymalnego obszaru walutowego – należące do niej gospodarki były po prostu zbyt różne, aby można było prowadzić wobec nich jednolitą politykę monetarną. Skutkiem tego zjawiska (oprócz istniejących samoistnie problemów gospodarki greckiej) był gwałtowny wzrost długu publicznego.

¹⁰ Przystąpienie do strefy euro „w ciągu dwóch-trzech lat” Donald Tusk deklarował jeszcze we wrześniu 2008 r. na Forum Ekonomicznym w Krynicy – dosłownie na kilka dni przed ogłoszeniem upadłości banku Lehman Brothers.

decyzje wpływ miało więc najprawdopodobniej również i pragnienie, aby w targanej kryzysem, dręczonej recesją Europie to właśnie Polska okazała się prymusem wyrzeczeń i oszczędzania¹¹.

Taka polityka miała jednak swoje społeczne konsekwencje. O ile bezpośrednio po wejściu do UE Polska odnotowała wzrost przeciętnego dochodu rozporządzalnego o ponad 10%, o tyle w kolejnych latach dynamika tego wzrostu wyraźnie zmaląła, osiągając w 2013 zaledwie 1,6%. Przez cały okres rządów Platformy nieznacznie tylko spadał udział wydatków w dochodzie rozporządzalnym (od 87,9% w 2007 do 80,5% w 2014). Owszem, następował wzrost zamożności, jednak jego owoce nie rozkładały się równo. Subiektywnie, biedniejsza część społeczeństwa była nadal biedna. Bezrobocie utrzymywało się na stabilnym poziomie ok. 10%, co było wielkością (zwłaszcza na tle poprzedniej dekady) umiarkowaną, zarazem jednak wciąż społecznie odczuwalną, zwłaszcza że było ono znacząco wyższe wśród ludzi młodych (w której to grupie w 2012 r. bezrobotnych było 26,5%). Recepty na uniknięcie dalszego wzrostu bezrobocia rządu Tuska upatrywały przede wszystkim w liberalnych regulacjach rynku pracy i niepodnoszeniu pensji minimalnej, co uderzało zwłaszcza w uboższą część społeczeństwa. W 2014 r. 45% pracowników otrzymywało wynagrodzenie netto niższe niż 502 euro, a w 2012 17,1% Polaków znajdowało się w stanie zagrożenia ubóstwem. Około jedna czwarta ogółu zatrudnionych pracowała na umowach śmieciowych, ze stawką wynagrodzenia wynoszącą 4-5 zł za godzinę. Wszystko to sprzyjało ogromnej emigracji zarobkowej do krajów UE, stopniowo otwierających się na pracowników z Polski. Pomimo wyjazdu, emigranci ci zachowywali prawa wyborcze i nie mieli zbyt wielu powodów, by głosować na partię, za rządów której musieli Polskę opuścić.

Sytuacja ta stanowiła wyraźną ekonomiczną podstawę podziału na malkontentów i beneficjentów transformacji, opisanego wcześniej. Dopóki tych ostatnich było więcej – a zwłaszcza dopóki ich grupa miała szansę rosnąć – notowania Platformy pozostawały stabilnie wysokie. Jednak Tuskowe *austerity* po 2011 r. zaczęło być odczuwalne nie tylko dla uboższej części społeczeństwa, lecz także dla klasy średniej, a zwłaszcza

¹¹ Rada UE objęła Polskę procedurą nadmiernego deficytu już w 2009 r. i zakończyła ją dopiero w czerwcu 2015 r., co oznaczało, że oba rządy Tuska nie miały swobody w ustalaniu założeń do kolejnych budżetów, lecz podlegały nadzorowi Komisji Europejskiej, mogącej – w razie niezastosowania się do zaleceń – nałożyć kary finansowe, albo nawet wstrzymać wypłatę części funduszy.

dla tych, którzy nie będąc nią jeszcze, do statusu tego aspirowali. Ich upragniony awans jednak wciąż nie następował: raty kredytów hipotecznych nieubłaganie rosły wraz ze zwyżkującą ceną franka szwajcarskiego, zaś pensje stały w miejscu. To właśnie było jednym z powodów, dla których tak szerokim negatywnym echem odbiło się w 2014 r. ujawnienie nagrań rozmów prowadzonych przez polityków i wysokich urzędników państwowych w warszawskiej restauracji „Sowa i Przyjaciele”. Jednym z najistotniejszych elementów afery okazała się być nie sama treść konwersacji, ale menu, którym raczyli się rozmówcy: kawior z łososia, carpaccio z mlecznej jagnięciny oraz urosło do rangi symbolu „ośmiorniczki”. Poszczególne obiady (dla dwóch osób, gdyż zwykle spotykano się w parach) kosztowały – jak skrupulatnie wyliczyła jedna z bulwarówek – od 1435 do 822 złotych, zaś ceny zamawianych win oscylowały wokół 500 zł za butelkę. Płatności uiszczano służbowymi kartami, pikanterii zaś dodawała całej sprawie nagrana wypowiedź minister infrastruktury i rozwoju Elżbiety Bieńkowskiej, stwierdzającej, że za 6000 zł miesięcznie pracować może „tylko złodziej albo idiota”. Kwoty te były szokujące nie tylko dla biedniejszej części społeczeństwa, zagrożonej bezrobociem i pracującej na śmieciówkach, lecz również dla dużej części tych, którzy uważali się za klasę średnią, bądź mieli nadzieję do niej dołączyć. Tym bardziej, że niespełna pół roku wcześniej rząd Tuska zafundował im bardzo bolesną niespodziankę w postaci likwidacji Otwartych Funduszy Emerytalnych (OFE).

2. Ile liberalizmu w liberalizmie?

OFE powołane zostały do życia przez reformę emerytalną rządu Buzka. W założeniu miała być ona odpowiedzią na nadciągający kryzys demograficzny i próbą zmiany modelu ubezpieczeń społecznych, opartego na solidarności pokoleń. Od czasów Bismarcka zakładał on, że świadczenia emerytalne dla ubezpieczonych wypłacane są z pieniędzy wpłacanych przez aktualnie pracujących; ubezpieczeni nie odkładali niczego na swoją emeryturę, lecz finansowali emerytury tych, którzy już na nią przeszli (licząc, że ich z kolei emerytura sfinansowana zostanie ze składek wpłacanych przez kolejne pokolenie pracowników). System ten zaprojektowano w czasach, w których średnia życia wynosiła 45 lat, a pierwszą pracę podejmowano zwykle w wieku lat kilkunastu, jednocześnie zaś dzietność była wysoka; przestał się sprawdzać, gdy parametry te uległy zmianie, skutkiem czego coraz mniejsza liczba pracujących finansować

musiała coraz większą liczbę emerytur. Polska po 1989 r. była w sytuacji szczególnie trudnej, w spadku po PRL odziedziczyła bowiem całkowicie niespójny system emerytur branżowych, pełen zasad szczególnych i przywilejów dla poszczególnych kategorii pracowników (zwłaszcza dla górników i służb mundurowych). Zakład Ubezpieczeń Społecznych nie uzyskiwał wystarczających dochodów ze składek odprowadzanych przez zatrudnionych, jego deficyt powiększał się każdego roku¹². Reforma wprowadzona w 1998 r. przez rząd koalicji AWS-UW zakładała, że składka do ZUS stanowić będzie podstawę do wypłacania przechodzącym na emeryturę świadczeń „podstawowych” (czyli, *de facto*, minimalnych), uzupełnieniem których miały być świadczenia pochodzące z „filaru kapitałowego”, czyli Otwartych Funduszy Emerytalnych, zarządzanych przez prywatne podmioty (Powszechne Towarzystwa Emerytalne, czyli PTE)¹³. Miały one inwestować powierzone im składki w instrumenty rynku kapitałowego; dzięki wysokiej stopie zwrotu świadczenia z OFE miały być istotnym uzupełnieniem przyszłych emerytur¹⁴. Aby zmniejszyć ryzyko utraty powierzonych środków, OFE zobligowane zostały jednak do inwestowania ponad połowy składek w instrumenty bezpieczne, tj. przede wszystkim obligacje Skarbu Państwa. System ten, wbrew składanym przez polityków obietnicom, nie był żadną ubezpieczeniową rewolucją i nie zmieniał w żaden istotny sposób sytuacji ubezpieczonych: obligacje nie mogły przynieść wysokich dochodów, prawdopodobieństwo więc,

¹² Ściślej rzecz biorąc, był to (i jest) deficyt nie ZUS, lecz FUS – Funduszu Ubezpieczeń Społecznych, w którym gromadzone są wszystkie składki na ubezpieczenia społeczne: emerytalne, rentowe, chorobowe i wypadkowe. Zakład Ubezpieczeń Społecznych zajmuje się jedynie obsługą Funduszu (w tym ewidencjonowaniem składek i wypłatą świadczeń), jednakże w sensie prawnym pieniądze te znajdują się w odrębnym podmiocie, jaki stanowi FUS.

¹³ Istota zmian wprowadzonych przez rząd Buzka polegała przede wszystkim na odejściu od PRL-owskiego systemu repartycyjnego o zdefiniowanym świadczeniu, w którym wysokość emerytury ustalana była przede wszystkim w oparciu o długość stażu pracy i tzw. kwotę bazową; przy czym stażową część emerytury wyliczano w oparciu o wybrany przez ubezpieczonego okres – mógł on decydować o wybraniu okresu korzystniejszego dla niego, czyli takiego, w którym jego zarobki były wyższe. Istotą reformy było przede wszystkim docelowe obniżenie wysokości wypłacanych świadczeń.

¹⁴ W skład systemu wchodził jeszcze „trzeci filar”, oparty na ubezpieczeniach dobrowolnych, do których zachęcać miały ulgi podatkowe; nie odegrał on jednak większej roli, gdyż większość ubezpieczonych z niego nie korzystała.

że emerytury z OFE pozwolą zabezpieczyć dostatnią starość przyszłych emerytów było raczej iluzoryczne¹⁵. Miał on jednak jedną niezaprzeczaną zaletę: na papierze zmniejszył radykalnie kwotę zobowiązań państwa z tytułu emerytur, bowiem wartość świadczeń, do wypłaty których zobligowany był ZUS, malała; a co za tym idzie – malał też jego deficyt. Sama istota gwarancji emerytalnych pozostawała jednak niezmienną – nadal bowiem ich źródłem była wypłacalność państwa, tyle że w przypadku OFE przejawiająca się w zdolności do wykupienia własnych, sprzedanych mu wcześniej obligacji. Ekonomiczny sens reformy był więc dość wątpliwy, tym bardziej że generowała one niebagatelne koszty dla ubezpieczonych: za zarządzanie powierzonymi im przymusowo składkami PTE pobierały od każdego ubezpieczonego prowizję¹⁶. Wynosiła ona początkowo od 8% do 10% kwoty odprowadzanej składki, a w 2004 r. ograniczona została ustawowo do 7%. Łącznie podmioty zarządzające OFE, czyli Powszechnie Towarzystwa Emerytalne zarobiły na tej działalności kilkanaście miliardów złotych¹⁷, gromadząc na swoich kontach ponad 300 miliardów złotych, mających stanowić uzupełnienie emerytur ubezpieczonych.

Pomysł likwidacji OFE, instytucji bardziej pasożytnych na polskim systemie emerytalnym niż go wspierających, pojawiał się od cza-

¹⁵ W latach 2010-2013 średnia ważona stopa zwrotu wszystkich OFE za okres trzyletni wyniosła 19,751%, czyli 6,5% rocznie i była tylko minimalnie lepsza (o 0,467 pkt proc) od stopy zwrotu w poprzednim trzyletnim okresie, tj. w latach 2007-2010. Średnia inflacja w latach 2010-2013 wyniosła dokładnie 3%, co oznacza że realna wartość środków zarządzanych przez OFE wzrastała o 3,5% rocznie. Lepszy rezultat od tej średniej osiągnęło sześć funduszy.

¹⁶ Sam udział w II filarze był obowiązkowy, można było natomiast wybrać fundusz, w którym gromadzone będą składki; dopuszczalna była też zmiana funduszu w trakcie ubezpieczenia. W zamyśle autorów ustawy miało to wygenerować konkurencję pomiędzy funduszami i skłonić je do wysiłku w celu uzyskania jak najwyższej stopy zwrotu z powierzonych pieniędzy. W praktyce, ze względu na obowiązek inwestowania w przeważającej mierze w obligacje, fundusze zarabiały głównie na prowizjach.

¹⁷ Dla porównania prowizje biur maklerskich w tym czasie wahały się w przedziale od 0,2% do 0,5% od transakcji, były więc ok. 20-krotnie mniejsze. Nie sposób powstrzymać się w tym miejscu od uwagi, że gdyby reforma rządu Buzka ograniczyła się do nałożenia na każdego zatrudnionego obowiązku kupowania obligacji Skarbu Państwa za pośrednictwem rachunku maklerskiego, to jej efekt byłby w zasadzie identyczny, z tym że te kilkanaście miliardów złotych zamiast do rąk właścicieli PTE, trafiłoby do systemu emerytalnego.

su do czasu w ustach ekonomistów. Platforma nie wspominała jednak o nim w kampanii wyborczej 2011 r. (choć zapowiadała w niej reformę emerytur). Powód był prosty: do OFE przywiązana była rodząca się klasa średnia. OFE były – w przeciwieństwie do anachronicznego i wiecznie niewydolnego ZUS – odbierane jako coś nowoczesnego; przede wszystkim zaś – w toku kampanii społecznych, przekonujących Polaków do reformy emerytalnej rządu Buzka, skutecznie wzbudzono w nich poczucie, że pieniądze w OFE należą do ubezpieczonych. Była to prawda tylko o tyle, że w razie śmierci ubezpieczonego przed przejściem na emeryturę środki te podlegały dziedziczeniu (wycofanie składki za życia nie było możliwe). Każdy Polak otrzymujący doroczne podsumowanie stanu swojego konta emerytalnego (które OFE, w przeciwieństwie do ZUS, wysyłały) widział więc namacalnie zaoszczędzone przez siebie środki i miał poczucie, że pieniądze te należą do niego. A czym lepiej zarabiał, tym większe to były kwoty¹⁸.

Jednak wskaźniki gospodarcze pozostawały nieubłagane. Deficyt budżetu, po przejściowym ograniczeniu w latach 2011-2012, w roku 2013 wyniósł 42,2 mld zł, co stanowiło 2,6% PKB. Deficyt całego sektora finansów publicznych (liczonego wraz z budżetami samorządów) wyniósł równie 4% PKB, czyli o cały jeden punkt procentowy powyżej progu wyznaczonego przez traktat z Maastricht. Jesienią 2013 r. ogłoszono założenia do reformy emerytalnej: jej zasadniczym elementem miało być przeniesienie środków zainwestowanych przez OFE w obligacje Skarbu Państwa do ZUS; na dodatek nie miały już one odtąd podlegać dziedziczeniu¹⁹. 3 lutego 2014 r. OFE – zgodnie z uchwaloną ustawą – przekazały do ZUS 152,8 mld zł, zaś ubezpieczeni w „filarze kapitałowym” otrzymali od swoich funduszy zaktualizowane zestawienia stanu kont, z których zniknęło „zaoszczędzonych” 51,5% środków. Z czysto ekonomicznego punktu widzenia było to przeksięgowanie długu publicznego, który w 2014 r. zmniejszył się

¹⁸ Do OFE trafiała mniej więcej 1/3 składki ubezpieczeniowej (dokładnie 7,3% od kwoty stanowiącej podstawę wymiaru składki, czyli, co do zasady, od kwoty wynagrodzenia/osiąganego dochodu; łącznie składka stanowiła 19,52% od kwoty stanowiącej podstawę wymiaru; w 2011 r. rząd Tuska dokonał obniżenia części trafiającej do OFE do poziomu 2,3% kwoty stanowiącej podstawę wymiaru składki.

¹⁹ Poza tym zlikwidowano „filar kapitałowy” jako obligatoryjną formę ubezpieczenia emerytalnego, odtąd przekazywanie do OFE składki w wysokości 2,3% kwoty stanowiącej podstawę wymiaru składki miało być dobrowolne.

o kwotę niemal dokładnie odpowiadającą wartości przejętych obligacji, spadając (na chwilę) poniżej poziomu 50% PKB²⁰.

Z punktu widzenia komunikacji politycznej z elektoratem – była to katastrofa.

Oszukani poczuli się przede wszystkim członkowie rodzącej się klasy średniej. „Reforma” nie była w żaden sposób zapowiadana, „reforma” była powszechnie kojarzona z rozpaczliwym poszukiwaniem przez rząd pieniędzy, „reforma” niczego tak naprawdę nie reformowała. Mało tego – likwidacja OFE oznaczała cofnięcie skutków zmian wprowadzonych przez Buzka – od 15 lat przedstawianych jako sukces – i uznanie całkowitej dominacji znienawidzonego przez przedsiębiorców modelu zusowskiego. Wprowadzone w 2013 r. zmiany w systemie emerytalnym były w wymiarze symbolicznym diametralnie sprzeczne z ważnym elementem liberalnej tożsamości dużej części wyborców Platformy: z przesłaniem mówiącym, że prywatne jest lepsze od państwowego, że państwo powinno przede wszystkim nie przeszkadzać. Przedsiębiorcy i mieszkańcy wielkich miast o liberalnych poglądach gospodarczych nie mieli zaufania do ZUS, będącego dla nich wręcz symbolem niewydolnego i gnębiącego ich aparatu państwowego, instytucji rodem wprost „z komuny”. Dla nich przeksięgowanie ich składek było odwrotnością tego, z czym utożsamiali Platformę – liberalizmu, rozumianego jako ograniczenie roli państwa i ochrona ich ciężko wypracowanego dorobku przed jego pazernością. Tym bardziej, że wizerunek PO jako partii liberalnej został już poważnie nadszarpnięty przez przeprowadzoną na początku 2011 r. podwyżkę stawek VAT, połączoną z niekorzystnymi dla przedsiębiorców zmianami w odliczaniu tego podatku od wydatków poniesionych na samochód firmowy²¹.

²⁰ Nabyte przez państwo w drodze przymusowego przejęcia obligacje zostały umorzone, Skarb Państwa stał się bowiem swoim własnym wierzycielem. Była to dokładna odwrotność operacji przeprowadzonej przez rząd Buzka, który realizował reformę emerytalną, dążąc przede wszystkim do zmniejszenia deficytu FUS – i przejściowo rzeczywiście ten efekt osiągnął. W czasach Tuska utrzymywanie długu emerytalnego poza FUS nie było już jednak konieczne, ponieważ – również na skutek reformy Buzka – zmianie uległa struktura wypłacanych emerytur, a zwiększenie zobowiązań FUS wobec ubezpieczonych z tytułu przejętych obligacji dotyczyło przyszłości, nie powiększało więc bieżącego deficytu tej instytucji.

²¹ Wprowadzone już jesienią 2010 r., a obowiązujące od 1 stycznia 2011 r. zmiany podwyższały obowiązujące dotychczas stawki tego podatku o jeden

„Skok na OFE”, jak go powszechnie określano, dobrze wpisywał się też w PiS-owską narrację o nieuczciwej i niesprawiedliwej transformacji. Reforma emerytalna rządu Buzka, o zaletach której przekonywano społeczeństwo tak długo, aż w końcu w nie uwierzyło, w 2013 r. uznana została znienacka za całkowicie bezwartościową; co więcej zlikwidować ją postanowili ci sami politycy, którzy głosowali za nią w 1998 r. (Tusk był wszak wtedy w Unii Wolności, a wraz z nim liczni politycy tworzący 15 lat później Platformę Obywatelską). Skutkiem tej likwidacji było zniknięcie z kont emerytalnych połowy środków – niekiedy pokaźnych – które wielu Polaków przyzwyczało się uważać za swoje; przekonywano ich, że to konieczne, gdyż budżet nie ma pieniędzy... jednak nie przeszkadzało to dysponentom tego budżetu raczyć się ośmiorniczkami u „Sowy i przyjaciół”.

Wszystko to nie skłaniało „klasy wielkomiejskiej” do przerwania swych sympatii na PiS, będący partią zbyt odległą w wymiarze kulturowym, ale skłaniało ich do rozglądania się za alternatywą. Tym bardziej, że wyraźnie odchodząca od liberalnych ideałów Platforma od pewnego już czasu zaczęła dokonywać niezrozumiałego dla części swojego elektoratu „skrętu w lewo”. Wiązał się on z uruchomionym po 2011 r. procesem przekształceń pozostałości postkomunistycznej lewicy, ale również z rosnącym stopniowo w kierownictwie partii przekonaniem, że polskie społeczeństwo po wejściu do UE ewoluować będzie w kierunku większego liberalizmu obyczajowego. Pierwszym, który zdecydował się postawić jednoznacznie na ten trend, był Janusz Palikot.

Ten pochodzący z Biłgoraja absolwent filozofii na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim i zarazem biznesmen z branży alkoholowej, przez pierwszą dekadę III RP nie interesował się polityką. Dopiero w latach 2005-2006 został na krótko wydawcą próbującego bez powodzenia zaist-

punkt procentowy (z 7% na 8% i z 22% na 23%) oraz wprowadzały dodatkową stawkę obniżoną w wysokości 5%, obejmującą jednak bardzo niewielką grupę towarów (przede wszystkim podstawowe produkty żywnościowe i książki). Dla małych przedsiębiorców (wykorzystujących zazwyczaj firmowe samochody w dużym stopniu do celów prywatnych) szczególnie bolesne było zlikwidowanie możliwości odliczania w całości VAT od paliwa oraz od ceny nabytego samochodu osobowego, co od 2004 r. możliwe było pod warunkiem zainstalowania „trwałej przegrody oddzielającej przestrzeń ładunkową” (czyli w przypadku osobówki – bagażnik) od miejsc siedzących i miało postać popularnej „kratki”, montowanej nawet w najmniejszych autach osobowych.

nieć na rynku tygodników opinii pisma „Ozon”²² i w tym samym czasie wstąpił do Platformy Obywatelskiej. Jako poseł zdobył początkowo pewną rozpoznawalność, kierując do 2009 r. sejmową komisją nadzwyczajną „Przyjazne Państwo”, mającą zajmować się eliminacją biurokratycznych barier dla przedsiębiorczości. Bariery te komisja usuwała w sposób dość wybiórczy, proponując np. w 2011 r. nowelizację art. 585 kodeksu spółek handlowych, której (błyskawiczne zresztą) uchwalenie umożliwiło umorzenie postępowania karnego toczącego się przeciwko Ryszardowi Krauze, jednemu z najbogatszych Polaków²³.

²² Tygodnik ten miał początkowo orientację wyraźnie liberalną (również obyczajowo), by następnie – po początkowych niepowodzeniach przyjąć profil mocno konserwatywny, związany ze środowiskiem wywodzącym się z katolickiego czasopisma „Frona”. Gdy i ten pomysł nie przyniósł wymiernych finansowo efektów, tygodnik zamknięto.

²³ Sprawa ta nie była jednoznaczna, bowiem środowiska przedsiębiorców od pewnego już czasu lobbowały za modyfikacją tego przepisu, przewidującego odpowiedzialność karną członków władz spółki za działanie na jej szkodę, argumentując, że jest on skonstruowany zbyt szeroko i prowadzi do penalizacji działań czysto biznesowych. Nowelizacja polegała na zmianie trybu ścigania: ze ściganego z urzędu miałoby ono stać się prywatnoskargowym, co oznaczałoby, że akt oskarżenia musi wnieść pokrzywdzony (a więc spółka), a nie prokurator. Sama zmiana nie byłaby więc bardzo kontrowersyjna, gdyby nie okoliczności jej uchwalenia. Jak wynika z ustaleń „Rzeczpospolitej”, przedstawionych w obszernym artykule z 5 października 2011 (*Posłowie zmienili prawo. Krauze zyskał*), postępowanie karne toczące się przeciw Krauzemu, właśnie o działanie na szkodę jednej ze swoich spółek, dotyczyło transakcji realizowanej przez spółkę King & King, próbującą w 2006 r. przejąć niezmiennie sprzyjającą PiS „Gazetę Polską”. W tym celu King & King miała otrzymać wielomilionowe, niezabezpieczone pożyczki od firm Krauzego, m.in od Prokom Investment. W sprawie tej akt oskarżenia wniesiony został przez prokuraturę w grudniu 2010 r.; już dwa tygodnie później Naczelna Rada Adwokacka opracowała projekt nowelizacji art. 585 ksh, wręczony uroczyście ministrowi sprawiedliwości podczas noworocznego przyjęcia Adwokatury, na którym obecny był również Krauze. Rząd nie zgłosił jednak autopoprawki do procedowanej właśnie w Sejmie ustawy „o ograniczaniu barier administracyjnych dla obywateli i przedsiębiorców” (przewidującej również zmiany w kodeksie spółek handlowych); poprawka przekształcająca działanie na szkodę spółki w przestępstwo prywatnoskargowe pojawiła się natomiast podczas prac komisji „Przyjazne państwo”. Zgłosił ją poseł PSL, Krzysztof Borkowski, przedsiębiorca rolny, któremu *nota bene* dwa lata później prokuratura usiłowała – bez powodzenia – uchylić immunitet w związku z podejrzeniem poświadczenia

Plany Jarosława Kaczyńskiego były jednak znacznie głębiej przemyślane i nie ograniczały się do dostarczenia swojemu elektoratowi krótkotrwałej satysfakcji. Gniew ludu zamierzał on wykorzystać do rzeczywistej przebudowy państwa.

3. Sprawiedliwość i legitymizacja

Jarosław Kaczyński posiada dwie cechy, zadziwiająco często umykające uwadze publicystów i komentatorów polityki: jest po pierwsze bardzo dobrze wykształcony i zwykle działa z głębokim rozmysłem, po drugie zaś – często bywa zaskakująco szczery. Jego poglądy na sądownictwo i rolę prawników w Polsce były od dawna ugruntowane; wielokrotnie też przedstawiał je zupełnie otwarcie, w tym w swojej opublikowanej w 2011 r. książce *Polska naszych marzeń*, napisanej (o czym zaświadcza charakterystyczny styl) osobiście, nie zaś z pomocą *ghostwritera*. Dla jej uważnych czytelników to, co wydarzyło się w 2015, a zwłaszcza w 2017 roku, nie było szczególnym zaskoczeniem³⁸.

Zapatrywania Kaczyńskiego na rolę prawa i władającej nim „kasty” ukształtowały zasadniczo dwa czynniki, jeden intelektualny, drugi praktyczny. Tym pierwszym były seminaria warszawskiego teoretyka prawa Stanisława Ehrlicha, promotora pracy magisterskiej przyszłego prezesa PiS³⁹. Ehrlich był marksistą i wszystko wskazuje na to, że zaszczepił w młodym Kaczyńskim zasadniczo marksistowskie rozumienie prawa: jako iluzji, skrywającej realną grę interesów, czyli walkę klasową. Prawo jest instrumentem panowania jednej klasy nad drugą, wszelkie dywagacje o jego obiektywnym charakterze służą jedynie zagwarantowaniu dominacji tych, którzy je tworzą i w których interesie ono działa. Dlatego też

³⁸ Np. „Z sądami w Polsce jest taki kłopot, że w istocie są one korporacjami, pozostającymi poza ścisłą kontrolą. [...] W doktrynie nastąpiła daleko idąca zmiana i można znaleźć publikacje, że w zasadzie sędzia decyduje, skoro taka jego wola. Nie jest tak, że prawo ma jakąś określoną treść [...], prawo to w zasadzie wola sędziego. Prawo zaczyna tracić swoją podstawową funkcję”.

³⁹ Na znaczenie poglądów Ehrlicha dla formacji intelektualnej młodego Kaczyńskiego zwracali uwagę m.in. autor jego biografii, Piotr Zaremba (*O jednym takim...*) oraz Krzysztof Mazur w opublikowanym na stronie Klubu Jagiellońskiego błyskotliwym eseju *Jarosław Kaczyński - ostatni rewolucjonista III RP*, z którego zaczerpnąłem tytuł tego rozdziału ([online:] <<https://klubjagiellonski.pl/2016/01/18/jaroslaw-kaczynski-ostatni-rewolucjonista-iii-rp/>>).

dla marksisty decydujące dla uznania obowiązywania normy prawnej jest jej pochodzenie (od legitymizowanego podmiotu – czyli od rewolucji) oraz właściwe – czyli zgodne z interesem klasowym – stosowanie. Myśl tę rozwija do dzisiaj socjologia postmarksistowska (na czele z Bourdieu), twierdząc, że za pomocą prawa jedne grupy utwierdzają swoją dominację nad innymi (poszerzają pole władzy); we współczesnej demokracji liberalnej najbardziej prominentną z tych grup stają się sami prawnicy, którzy decydując o sposobie wykładni normy prawnej oraz – poprzez sądy konstytucyjne – o uznaniu jej za obowiązującą bądź nie, kontrolują pole władzy politycznej⁴⁰.

Doświadczenia dotyczące funkcjonowania prawa w III RP musiały, jak sądzę, utwierdzić Kaczyńskiego w przekonaniu, że koncepcja ta stanowi wyczerpujący opis rzeczywistości. W pierwszej dekadzie istnienia niepodległej Polski po 1989 r. prawo rzeczywiście sprzyjało silniejszym, tylko oni bowiem byli w stanie ponieść koszty długotrwałych procesów i opłacić pomoc prawną, niezbędną, aby skutecznie wziąć udział w skomplikowanej grze, nazywanej wymiarem sprawiedliwości; poza tym ogólnym (i podzielanym przez jego elektorat) przekonaniem, prezes PiS miał też jednak i swoje osobiste doświadczenia, ściśle związane z polityką.

Środowisko sędziowskiej, czy szerzej prawniczej, było, jak to opisywałem wcześniej, niechętnie zarówno rozliczeniom z komunistyczną przeszłością, jak i pomysłom dotyczącym zerwania ciągłości elit PRL z elitami demokratycznej Polski. Choć nie działało w sposób skoordynowany, zostało przez Kaczyńskiego uznane za jeden z kluczowych czynników, dzięki którym ta ciągłość została w pewnym stopniu utrzymana. Przywódca Porozumienia Centrum, a potem PiS przypisywał sędziom odpowiedzialność za niepowodzenia procesu lustracji (choć, jak starałem się wykazać to wcześniej, w co najmniej równym stopniu odpowiadali za to politycy, w tym brat Jarosława) i przeceniał rolę Trybunału Konstytucyjnego w blokowaniu jego własnych inicjatyw politycznych. W tym urazie wobec elit prawniczych była też silna komponenta osobista: uchwała Sej-

⁴⁰ Trzeba tu zaznaczyć, że poglądy samego Ehrlicha dalekie były od wulgarnego, czysto marksowskiego pojmowania prawa i w gruncie rzeczy mogły być uznane za prekursorskie wobec współczesnej socjologii postmarksistowskiej: jego badania koncentrowały się na analizie działania norm prawnych i postrzegały rzeczywistą treść normy prawnej jako wypadkową realiów społeczno-politycznych jej stosowania.

mu, na mocy której rząd Jana Olszewskiego⁴¹ podjął pierwszą lustracyjną próbę, została uznana za sprzeczną z konstytucją. Od analogicznego rozstrzygnięcia Trybunał uchylił się jednak w przypadku niesławnej Instrukcji 0015, w oparciu o którą Urząd Ochrony Państwa inwigilować miał partie post-solidarnościowej prawicy w latach 1992-1993⁴². Zdaniem należących do tych ugrupowań polityków, instrukcja nie tylko zezwalała na inwigilację (w tym na werbowanie agentury), lecz również na „działania dezintegracyjne”; najdalej idące interpretacje przypisywały UOP wręcz zaangażowanie w działania uniemożliwiające tym ugrupowaniom wspólny start w wyborach w 1993 r. (co doprowadziło do ich pozostania poza Sejmem). Wyjątkowości całej sprawie dodawał fakt, że w UOP istnieć miał specjalny, realizujący te działania zespół, na czele którego stał płk Lesiak – były esbek, zweryfikowany negatywnie w 1990 r., lecz przyjęty do UOP po osobistej interwencji Jacka Kuronia. Przeciwko Lesiakowi wszczęto postępowanie karne, zostało ono jednak umorzone w 1999 r., gdy funkcję prokuratora generalnego objęła polityk Unii Wolności Hanna Suchocka (będąca w czasach obowiązywania instrukcji – i domniemyanych działań podejmowanych przeciwko Porozumieniu Centrum – premierem). Po zaskarżeniu sąd nakazał wznowić śledztwo i tym razem doprowadziło ono do wniesienia aktu oskarżenia, lecz dopiero cztery lata później. W lutym 2007 r. sąd umorzył postępowanie ze względu na przedawnienie⁴³. Trud-

⁴¹ Współtworzony przez Porozumienie Centrum i będący w dużej mierze autorskim pomysłem samego Kaczyńskiego

⁴² Instrukcja UOP nr 0015/92 wydana została w październiku 1992 przez dyrektora Biura Analiz i Informacji UOP Piotra Niemczyka, który później stanowczo zaprzeczał, aby była ona kiedykolwiek stosowana; podobnie czynili jego przełożeni – ówczesny szef UOP Gromosław Czempiński i nadzorujący go ówczesny szef MSW Andrzej Milczanowski. Milczanowski był człowiekiem Wałęsy (w porozumieniu z którym – najprawdopodobniej – oskarżył w 1995 Józefa Oleksego o współpracę z KGB), zaś Porozumienie Centrum wraz z kilkoma innymi ugrupowaniami zaliczało się do tzw. prawicy antywałęsowskiej. Istnienie instrukcji ujawnione zostało przez Jarosława Kaczyńskiego w 1993 r., Trybunał Konstytucyjny umorzył jednak postępowanie w sprawie jej zgodności z konstytucją, gdyż przed rozpoznaniem sprawy została ona przez kolejnego szefa UOP uchylona, przestała więc obowiązywać (a co za tym idzie – podlegać kognicji TK).

⁴³ Zarazem jednak stwierdzając, że, po pierwsze, „zespół Lesiaka” faktycznie istniał, po drugie – że łamał prawo, przekraczając swoje uprawnienia i inwigilując legalnie działające partie polityczne (a pośrednio uznał też, że faktycznie miało miejsce podejmowanie „działań dezintegrujących”).

no doprawdy o lepszą egzemplifikację cynicznych teorii prof. Ehrlicha: sama norma prawna jest niczym, liczy się sposób jej stosowania i to on przesądza o jej realnej treści.

Drugim fundamentalnym wydarzeniem determinującym spojrzenie prezesa PiS na system prawny III RP była, jak sądzę, sprawa Beaty Sawickiej. Ta posłanka Platformy Obywatelskiej została zatrzymana przez CBA w październiku 2007 r. – na trzy tygodnie przed przyspieszonymi wyborami do Sejmu, które przynieść miały koniec pierwszych rządów Kaczyńskiego – pod zarzutem przyjęcia łapówki. Jej wina była doskonale udokumentowana: w ramach prowokacji operacyjnej CBA zarejestrowało, jak odbiera ona torbę, zawierającą 50 tysięcy złotych. Na specjalnie zwołanej w tym celu konferencji prasowej szef służby, Mariusz Kamiński (będący wcześniej posłem PiS) z nieukrywaną satysfakcją zaprezentował ten film, wraz z nagraniami rozmów, jakie działający pod przykryciem agenci prowadzili z Sawicką. Ich treść również była jednoznaczna: nie tylko wzięła ona udział w próbie przekupienia burmistrza Helu⁴⁴, ale również planowała dalszą, owocną współpracę z podającym się za biznesmena funkcjonariuszem w następnej kadencji⁴⁵.

Choć tak bezwzględne wykorzystanie CBA w kampanii wyborczej było skandalem, to skandaliczne było również zachowanie Sawickiej i jej zarejestrowane wypowiedzi. Została też skazana w I instancji za ko-

⁴⁴ Był nim Mirosław Wądołowski, skazany następnie w tej sprawie w 2012 r. na 2 lata pozbawienia wolności (w zawieszeniu) oraz grzywnę.

⁴⁵ Agenci CBA w tej sprawie udawali przedsiębiorców, Sawicka miała przekazać łapówkę Wądołowskiemu w zamian za rozstrzygnięcie przetargu na ich korzyść. Na nagraniach zarejestrowano m.in. jej następujące wypowiedzi (dotyczące przewidywanych planów prywatyzacji części służby zdrowia, który to pomysł postulowała podówczas PO): „Powiem szczerze, że chciałabym to doprowadzić do końca, jeżeli coś z tego mielibyśmy oboje albo ty. Ale jeżeli jest tylko za friko, to to pieprzę”. „Natomiast w momencie, kiedy ruszy nowy parlament, on ruszy od grudnia, podejrzewam, że przez pierwsze pół roku, gdzieś koło maja, czerwca, można spodziewać się, że machina ruszy. Biznes na służbie zdrowia będzie robiony”. „Moja grupa [...] nas interesuje Warszawa. A co by powiedzieć, dzisiaj to tak mówię oczywiście ogólnikami, natomiast do tego typu spraw będzie pierwszy macher, frontmenka, partnerka z mojej grupy, z tym że mają za sobą pracę jako ordynatorzy, dyrektorzy ZOZu, dzisiaj są parlamentarzystami”. „Może będą wybory za dwa miesiące, może będą za pół roku, może za trzy tygodnie. Stąd wiesz, ja muszę być przygotowana na każdy wariant. W politykę się nie musicie mieszać, tylko kasę dajcie”.

rupcję oraz nakłanianie do płatnej protekcji. Jednak jej sprawa stała się przedmiotem kampanii medialnej, zainicjowanej przez „Gazetę Wyborczą”, w której promowano – jak się okazało nader skutecznie – narrację zupełnie odmienną i niezwykle korzystną dla partii Tuska. W myśl tej opowieści Sawicka nie była skorumpowanym politykiem, lecz ofiarą podstępnych knowań agenta CBA, który manipulacjami, a nawet – jak sugerowano – wręcz uwodząc ją, doprowadził do przyjęcia przez nią łapówki. Takie odwrócenie sprawy o 180 stopni wymyślił – jak się wydaje – pełnomocnik Sawickiej Jacek Dubois, uważany za pozostającego w bliskich relacjach z politykami Platformy Obywatelskiej i należący niewątpliwie do ścisłej elity adwokackiej Polski⁴⁶. Okazało się też ono skuteczne, w drugiej instancji bowiem Sawicką uniewinniono, co przypieczętowało ostatecznie oddalenie przez Sąd Najwyższy kasacji wniesionej przez prokuratora w 2013 r. Orzeczenia te były dyskusyjne na gruncie dogmatycznym: zarówno Sąd Apelacyjny, jak i SN odwołały się do swoiście rozumianej „doktryny owoców zatrutego drzewa”⁴⁷ (nigdy nieobowiązującej w polskim prawie karnym, co tenże Sąd Najwyższy wcześniej kilkakrotnie podkreślał)⁴⁸, przy czym za naruszenie prawa (dyskwalifikujące uzyskane za jego pomocą dowody) uznano wywieranie „istotnego wpływu na osobę prowokowaną”, a więc przesłankę całkowicie oceną, której oceny z kolei dokonano – nie sposób oprzeć się takiemu wrażeniu – w dużej mierze pod wpływem wspomnianej kampanii medialnej. Przede wszystkim jednak uniewinnienie Sawickiej miało w sobie coś z publicznej demoralizacji: wszyscy widzieli, jak przyjmowała łapówkę i stwierdzenie orzekającego

⁴⁶ Jego ojciec Maciej bronił opozycjonistów oskarżanych w czasie stanu wojennego i należał do Społecznej Komisji Pojednawczej, powołanej do przywrócenia do pracy osób zwolnionych z pracy w całej Polsce za działalność polityczną i związkową w latach 1981-1989. Jacek Dubois został na wniosek Platformy wybrany w 2012 r. na zastępcę przewodniczącego Trybunału Stanu; pisząc o nim, media używały określeń takich jak „adwokat Platformy” (Wyborcza.pl, wydanie lokalne – Wiadomości Opole, 20.05.2019) lub „ulubiony adwokat PO” („Fakt”, 21 marca 2018).

⁴⁷ W systemach prawnych wywodzących się z tradycji anglosaskiej określa się w ten sposób zakaz skazania oskarżonego, dowody przeciwko któremu uzyskane zostały z naruszeniem prawa.

⁴⁸ Np. w wyroku z 5 lutego 2008 r., SNO 2/08, w którym stwierdził wprost: „[...] kodeks postępowania karnego nie eliminuje dowodów mających cechy «owoców zatrutego drzewa», które podlegają swobodnej ocenie sądu w połączeniu z pozostałymi dowodami”.

w II instancji sędziego Rysińskiego, że „ponosi za to odpowiedzialność moralną” (ale już nie karną), stanowiło swoistą deklarację stosunku państwa polskiego do korupcji.

W oczach zwolenników PiS była to kompromitacja wymiaru sprawiedliwości i dowód na jego ewidentne upolitycznienie. Sąd, ratując posłankę od kary – za pomocą nader wątpliwej argumentacji – ratował wszak zarazem partię Tuska od poważnego problemu wizerunkowego. Istotne było jednak jeszcze coś innego: to, co Kaczyński odbierał jako egzemplifikację teorii o prawie będącym wyłącznie instrumentem w rękach grup walczących o władzę, część zwykłych wyborców odbierała jako odbicie swoich osobistych doświadczeń z wymiarem sprawiedliwości. Niekończące się procesy, których ostateczne rozstrzygnięcie nie rozstrzygało niczego, mimo że problem był realny i poważny (jak w przypadku instrukcji 0015) lub też zaskakujące i sprzeczne z faktami i ze zdrowym rozsądkiem orzeczenia, uzasadnione mętną formułą formalną (jak w przypadku Sawickiej), nie były niestety w polskim sądownictwie rzadkością. Negatywny stosunek do sądów konsekwentnie potwierdzały badania CBOS, w których procent respondentów oceniających działanie wymiaru sprawiedliwości „raczej źle” i „zdecydowanie źle” często przekraczał 60%⁴⁹. Elity prawnicze nie zamierzały wyciągać wniosków z tej sytuacji i uchylały się od oczywistej konstatacji, że rozumienie praworządności wyłącznie przez pryzmat proceduralnej poprawności wydania orzeczenia (którą to poprawność władne są oceniać wyłącznie one same) nie jest wystarczające.

Sformułowana przez PiS krytyka tych elit, jako wywodzących się z komunizmu, korzystających na strukturach państwa postkomunistycznego, powstałych w wyniku transformacji i budujących „elementy państwa prawa, w którym nie ma jednak praworządności”, państwa, w którym istnieją „immunitety systemowe, polegające na tym [...] że osoby silne społecznie, należące do głównego nurtu akceptującego system, nie odpowiadają przed prawem”, trafiała do wyborców również dlatego,

⁴⁹ Najlepiej oceniano sądy w okresie rządów „pierwszego PiS”, tj. w latach 2006-2007 (procent oceniających je pozytywnie jedyny raz przekroczył wówczas odsetek oceniających je negatywnie, wartości te wyniosły odpowiednio nieco ponad 40% i nieco ponad 30%). Przez większość okresu od 1998 do 2016 r. ponad połowa Polaków oceniała negatywnie funkcjonowanie wymiaru sprawiedliwości, z apogeum właśnie w latach 2012-2013 (tj. gdy zapadły wyroki II instancji i SN w sprawie Sawickiej), kiedy to odsetek ocen negatywnych sięgnął 65%.

że diagnoza Kaczyńskiego w pewnej części odpowiadała doświadczanej przez nich rzeczywistości. Oni też mieli poczucie, że „system nie może być praworządny [...], jeżeli nie ma elity, która wartości prawne związane z życiem społecznym, w tym także moralne, traktuje jako autoteliczne, to znaczy obowiązujące niezależnie od warunków” – choć nie umieli tego wyrazić w ten sposób⁵⁰.

W ten sposób podstawowy mechanizm legitymizacyjny państw zachodniej Europy, który opisywałem w rozdziale V, w Polsce działał – w najlepszym wypadku – tylko okazyjnie. Mimo że warunki życia poprawiły się znacznie w stosunku do lat 90-tych i mimo że spór o komunistyczną przeszłość wygasł w pewnym sensie samoczynnie, wielu obywateli III RP nadal nie postrzegało jej jako państwa sprawiedliwego, w dużej mierze przez to, że instytucje powołane do wymierzania sprawiedliwości często – w ich odczuciu – zawodziły.

Co więcej, Prawo i Sprawiedliwość oprócz – w dużej mierze zasadnej – krytyki tych instytucji, dysponowało też opowieścią podważającą ich legitymizację do wymierzania sprawiedliwości w ogóle. III RP była w tej opowieści nie tylko państwem wadliwym, które należy poprawić; była państwem nieprawomocnym. Po części nieprawomocność ta brała się z „grzechu pierworodnego” polskiej transformacji – z braku momentu początkowego, w którym winni totalitarnej przeszłości odsunięci zostaliby od polityki oraz od możliwości uwłaszczenia się na państwowym majątku – w czasie, gdy „zwykli ludzie” znosić musieli skutki drastycznych reform Balcerowicza. To wtedy miała swój początek emocja „wielkiego rozczarowania”, opisywana przeze mnie w rozdziale III, emocja, której symbolem – niezasłużenie – stał się Okrągły Stół (którego Jarosław Kaczyński stał się po latach jednym z zagorzałych krytyków, „zapominając”, że sam wraz z bratem przy nim zasiadał). Ta opowieść miała jednak swój ciąg dalszy: epizod rządu Olszewskiego urastał w niej do rangi mitycznego starcia, w którym bohaterski premier próbował za cenę upadku swego rządu wymusić lustrację, mającą przynieść przełom i uwolnić Polskę od postkomunizmu (w roku 2015 nikt nie wspominał już o tym, że 23 lata wcześniej Kaczyński uważał działania Olszewskiego za nieracjonalne

⁵⁰ Wszystkie przytoczone cytaty (częściowo sparafrazowane) pochodzą z wykładu wygłoszonego przez Jarosława Kaczyńskiego w 2010 r. na Uniwersytecie Jagiellońskim i wydrukowanego bez autoryzacji w czasopiśmie „Pressje”, wydawanym przez Klub Jagielloński (Teki XXIV, 2011).

i obaj panowie zostali na długie lata politycznymi wrogami)⁵¹. Wreszcie – i tu leży klucz do zrozumienia stosunku Prawa i Sprawiedliwości do konstytucji z 1997 r. – w wyborach 1993 r. ugrupowania prawicy post-solidarnościowej nie dostały się do Sejmu w ogóle. Stało się tak, gdyż nie były one w stanie uzgodnić wspólnego startu w wyborach jako koalicja (i zignorowały potencjalne skutki rozwiązania, za którym same głosowały, czyli wprowadzenia progu wyborczego)⁵². Skutkiem było wybranie najbardziej niereprezentatywnego parlamentu w polskiej historii po 1989 r.: „zmarowało się” 4,7 mln głosów, czyli ponad 34% wszystkich oddanych, zaś SLD i PSL, na które zagłosowało łącznie 4,9 mln ludzi (czyli 35,8% głosów), uzyskały ponad 65% mandatów. A następnie, wraz z Unią Demokratyczną (której z wynikiem 10% głosów udało się przekroczyć próg), uchwałyły konstytucję. Tę konstytucję, która petryfikowała status Trybunału Konstytucyjnego jako ostatecznego kontrolera władzy politycznej i status Krajowej Rady Sądownictwa jako gwaranta autokooptacyjnego modelu sądownictwa. Tej konstytucji prezes PiS i jego zwolennicy co do zasady nie uznawali za prawomocny fundament III RP i nie czuli się zobowiązani do przestrzegania ustanowionych przez nią reguł.

Rewolucja, która przeprowadzić zamierzał Jarosław Kaczyński, dysponowała spójną mitologią, sprawnie tłumaczącą doświadczenia słabszej i skrzywdzonej transformacją części społeczeństwa i zagospodarowującej jego resentyment do elit. Wyborcy PiS – a przynajmniej żelazny elektorat tej partii – nie łaknęli bowiem, w przeciwieństwie do wyborców PO, spokojnej normalności, w której będą mogli bogacić się, aż „będzie tu jak na Zachodzie”. Oni pragnęli sprawiedliwości. I uważali, że nie zapewnia jej państwo prawników, „budujących elementy państwa prawa”, którego działanie przejawia się w uniewinnieniu Sawickiej.

⁵¹ Która to wrogość wygasła dopiero w 2005 r., kiedy to – na skutek klęski odniesionej w wyborach przez ugrupowanie Olszewskiego, jego członków przejął PiS, ceną za co było uhonorowanie byłego premiera i zapewnienie mu miejsca w tworzonej od nowa prawicowej mitologii. *Nota bene* tą właśnie drogą trafił też do PiS Antoni Macierewicz.

⁵² Kaczyński przypisywał odpowiedzialność za tę sytuację płk. Lesiakowi (choć ambicje liderów poszczególnych partii i ich naturalna kłótność pozwalają z dużym prawdopodobieństwem przyjąć, że koalicji nie udałoby im się zawrzeć, nawet gdyby zespół Lesiaka nie powstał).